

Wyspa Żółwia

Polski Ruch Przyjaciół Indian
ma 50 lat





Mamy 50 lat!

Nie jestem jedynym, któremu trudno oswoić się z myślą, że polski ruch indianistyczny ma już 50 lat – bez względu na to, czy jest w PRPI od początku, czy od 30., 20. lat lub krócej.

Wielu z nas „indianerka” wypełniła całe życie, dla innych była tymczasowym zachwytem; dla jednych kontakt ze światem narodów tubylczych obu Ameryk stał się drogą zawodową, dla innych „zwykłym hobby”, ale dla wszystkich chyba pozostaje jednym z najbardziej niezwykłych przeżyć w życiu.

Jako redakcja „Magazynu Wyspa Żółwia” spróbowaliśmy zmierzyć się z pewnego rodzaju podsumowaniem 50-lecia Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian w formie zaproszenia do opublikowania swych wspomnień. Wiele osób przepraszało, że w związku z krótkim czasem oczekiwania na teksty, nie zdąży, inni odmawiali przepraszając, że nie czują się na siłach, by pisać – woleliby o tym opowiedzieć. Ale ci, co odpowiedzieli, zrobili to znakomicie – opisali swoje życie z PRPI w tle, tworząc żywą kronikę naszego świata, polskich indianistów.

Wszyscy Autorzy wspomnień publikowanych w tym numerze są na tyle znani, że nie trzeba ich chyba specjalnie przedstawiać. Jeśli młodszy czytelnik będzie miał problem ze skojarzeniem who is who, to teksty są nie tylko idealną okazją do poznania ich samych, ale też do zorientowania się jakie emocje towarzyszyły im na różnych etapach tworzenia PRPI.

Wielu przepraszało, że nie da rady napisać, a ja przepraszam, że nie dawałem zbyt wiele czasu: niestety procedura składu, korekty redakcyjnej i druku – by ze wszystkim zdążyć na złot – stanowiła dość istotne ograniczenie i wprowadziła w świat Indian time dość surowy reżim czasowy. Ale zapewniam, że każdy, kto zechce coś napisać – choćby po lekturze tego numeru – to ma szansę na publikację swojego tekstu na portalu amerykaindianska.pl. Tam nie mamy reżimów czasowych i objętościowych.

Cieszę się, że „Wyspa Żółwia” może być jednym z wielu elementów świętowania 50-lecia PRPI. Cieszę się, że możemy być – jako redakcja i ludzie ją tworzący – kontynuatorami wielu wspólnych inicjatyw tworzonych w PRPI znacznie wcześniej. I mam nadzieję, że będziemy dla wielu naszych czytelników inspiracją dla ich aktywności – nie tylko tych z kręgu Ruchu, ale i naszych przyjaciół spoza, którzy w tradycjach tubylczych poszukują odpowiedzi na swoje pytania o przyszłość świata.

PRPI obchodzi swoje 50-lecie, a „Magazyn Wyspa Żółwia” świętuje swoje 10-lecie! Tak, to już 10. numer naszego pisma trafia do kręgu czytelników.

Dziękujemy za Wasze zainteresowanie i życzliwość. A skoro mamy mały jubileusz - 10. numer „Wyspy Żółwia”, to pragnę zaprosić do współpracy z naszym magazynem: do publikacji na jego łamach. Dotąd trzymaliśmy się modelu „temat numeru”, którym wypełnialiśmy całość kolejnych numerów. Obecnie od takiej formuły powoli odchodzimy na rzecz urozmaicenia treści. Chcemy publikować głosy tubylczych publicystów: prosimy o pomoc w docieraniu do Waszych znajomych zza Oceanu - może zechcą podzielić się swoimi refleksjami; chcemy publikować polskich autorów: jest wśród nas wielu mających ciekawe pasje indianistyczne i spostrzeżenia - może chcecie pisać o tym w „Wyspie”.

Zapraszam także do współtworzenia internetowego portalu „Ameryka Indiańska”, żeby nabrał różnorodności. Chcemy zwiększyć jego potencjał edukacyjny i możemy to robić lepiej w szerszym gronie.

I na koniec serdeczne specjalne podziękowania dla Marka Nowocienia, który podjął się roli redaktora numeru i jak widać - poszło mu to znakomicie.

Krzysztof M. Mączkowski

Wyspa Żółwia. Magazyn indianistyczny.

Wydawca:

Fundacja Bieg Na Rzecz Ziemi,
w ramach projektu Made in Native America:
www.amerykaindianska.pl
mail: biegnarzecziemi@gmail.com

Redakcja:

Ewa Stańska, Joanna Wolińska, Cezary Cieślak,
Waldemar Kuligowski, Dariusz Lipecki, Marek
Maciołek, Krzysztof M. Mączkowski (red.
naczelny), Marek Nowocień, Dariusz Pohl,
Włodek Rybicki.

Kontakt:

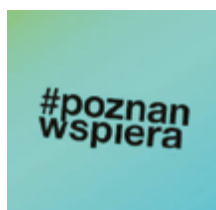
wypazolwia@gmail.com
tel. 601 76 70 30

Zdjęcia w numerze są autorstwa Sławki Toma-
szewskiej | Stykówka

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za publi-
kowane treści oraz proponowane przez Autorów
rozwiązania językowe. Redakcja zastrzega sobie
prawo do zmian tytułów oraz skrótów i poprawek
redakcyjnych.

Sfinansowano ze środków budżetowych
Miasta Poznania #poznanwspiera

POZnań*



Między Sacred Run a Biegiem Na Rzecz Ziemi

Opowieść o Polskim Ruchu Przyjaciół Indian jest opowieścią o całym środowisku i każdym z nas. Dlatego wiele opowieści zaczyna się od indywidualnych wspomnień albo na nich się kończy. Nie inaczej jest ze mną. Wchodziłem do naszego kręgu 40 lat temu, w latach 80., kiedy Ruch miał raptem 10 lat i był silnie motywowany głośnymi wydarzeniami z Kraju Indian składającymi się na „indiańską rebelię” lat 70. i 80. XX w. To właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałem o Ruchu Indian Amerykańskich (AIM), o „sprawie Leonarda Peltiera”, Alcatraz i Wounded Knee, obozie Żółtego Grzmotu, Black Hills, o Dennisie Banksie, Johnie Trudellu, Russellu Meansie i innych. I ta „polityczność” została mi do dziś w formie zainteresowania współczesną polityką amerykańską, w obie strony – postawą Waszyngtonu wobec Indian, ale i Indian wobec Waszyngtonu.

W Ruchu pojawiłem się jako nastolatek, w czasie, gdy kształtowały mi się wszystkie zainteresowania, ważne do dziś – ekologia i właśnie Indianie. Należę więc do tego grona osób, dla których „indianerka” stała się głównym motywem prawie wszystkich wyborów życiowych i wielu zawodowych. Do PRPI dołączyłem po lekturze „Expressu Poznańskiego”, który był namiętnie czytany w moim rodzinnym domu. To tam wyczytałem o PRPI, o zlotach w Chodzieży. Gdy napisałem do redakcji list z prośbą, by przekazali go do Ruchu, „bo chciałbym wstąpić”, okazało się, że list szczęśliwie (nie ma przypadków!) trafił do Ewy Stańskiej, która wówczas tam pracowała, a która zaprosiła mnie na spotkanie do Klubu Zainteresowań Kulturą Indian w Osiedlowym Domu Kultury „Orbita” w Poznaniu. I tak to się zaczęło...

Pamiętam pierwsze swoje zloty, spotkania i sesje popularno-naukowe („Orbita”, Papiernia koło Chodzieży i „Floryda” pod Koszalinem – 1986-1988). I co ważniejsze, pamiętam swoje ogromne emocje związane z odkryciem środowiska ludzi, którzy dzieląją mój punkt zainteresowań. To było coś, czego nie miałem w swoim najbliższym otoczeniu kolegów z Wolsztyna, którzy widzieli w tym raczej „zabawę w Indian” niż coś poważnego. Szczęśliwie bardzo szybko, bo już w 1990 r., jako dwudziestolatek, na początku swoich studiów antropologicznych, trafiłem na trasę Sacred Run Europe, Świętego Biegu Na Rzecz Ziemi i Życia, który przemierzał Polskę od Zgorzelca po Augustów. Polska trasa trwała 10 dni, a ja na Bieg dotarłem do Warszawy na zaledwie cztery dni. Dziś wiem, że ukształtowały mnie one na zawsze. To wtedy poznałem część bogatej tubylczej filozofii postrzegania Ziemi i związków człowieka z Ziemią i sensu jej ochrony. I to właśnie wtedy te moje dwa światy – ekologia i Indianie – zeszyły się na jeden szlak. Choć mocno ten związek eksplodował kilkanaście lat później.

Myślę, że Bieg miał ogromne znaczenie nie tylko dla indywidualnych biegaczy, ale jest przełomowym momentem dla całego naszego Ruchu. To wtedy większość z nas poznała „prawdziwych Indian”, mogła wejść z nimi w bezpośrednie relacje utrzymywane bardzo długo, być uczestnikiem autentycznych tubylczych uroczystości i ceremonii. Dla wielu z nas było to znaczące przejście ze świata Indian opisywanego w książkach do realnego świata indiańskiej współczesności. To wtedy nauczyliśmy się, że można biegać i chodzić z przesłaniem: co krok, to modlitwa. Poznaliśmy głębię czegoś, czego nawet dziś w wielu książkach nie znajdziemy.

Mało tego, od Sacred Run’ 90 rozpoczął się „polski desant” na indiańskie wydarzenia w Ameryce – kolejne edycje Świętego Biegu w Kanadzie, USA, innych krajach – i do rezerwatu Blackfeetów

w Browning. Rozwój technologii i naszej ciekawości doprowadził do wyjazdów w inne miejsca: do Lakotów, Szoszonów, Kiowa, Nawahów i innych narodów, i poznania innych Indian. To właśnie kontakty ze światem indiańskich rezerwatów zaowocował narodzinami polskich powow, w Katowicach, Pszczynie, Toruniu, Uniejowie, Poznaniu i innych polskich miastach. Wcześniejsze kontakty z redakcjami tubylczych mediów, pisarzami, dziennikarzami i aktywistami pozwoliły wielu z nas poznawać gorzką historię Kraju Indian, a potem poznawać bohaterów tamtych wydarzeń na żywo.

Na fali emocji po Sacred Run Europe 1990, 2 lata później, w roku 1992, w roku kłamliwie nazywanym jubileuszem „odkrycia Ameryki przez Kolumba”, zorganizowałem – wraz z powstałym dwa lata wcześniej Polskim Stowarzyszeniem Przyjaciół Indian – Bieg Solidarności z Narodami Tubylczymi Ameryki. I podczas Biegu Solidarności w kwietniu 1992 r., i w trakcie wielkiego pikniku pn. „Kolumb, ty draniu” w Warszawie w październiku tego samego roku, polscy indianiści jako pierwsi podnosili, że w 1492 r. nie było żadnego „odkrycia Ameryki”, a początek wielkiej eksterminacji ludów tubylczych obu Ameryk.

Niespecjalnie przesadzę, jeśli powiem, że uczestnicy PRPI mają swój spory udział w kształtowaniu świadomości i wiedzy Polaków na temat Indian – i wtedy, gdy mówiliśmy o faktycznym, brutalnym obliczu 500-lecia „odkrycia”, i dziś, gdy opisujemy głośnie współczesne wydarzenia w Ameryce: np. protesty Idle No More! w Kanadzie, kampanię Mni Wiconi czy nawet indiańskie konteksty protestów w Minneapolis. Dziś sprawy indiańskie stanowią główny lub ważny element praktycznie każdego projektu zawodowego, którymi się zajmuję. Pracując na Uniwersytecie WSB Merito i zajmując się sprawami ochrony środowiska, za każdym razem nawiązuję do tubylczych tradycji szacunku dla Ziemi, co jest nowością dla polskich studentów.

Rok temu zorganizowałem też pierwszą w Polsce konferencję o sprawach ochrony środowiska w kontekście praw człowieka – inspirowaną sprawami tubylczych inicjatyw proekologicznych – gdzie także mówiłem o walce indiańskich plemion o prawo do życia w czystym środowisku. Tematyka tubylcza jest stale obecna nawet w ekumenicznym Programie Drzewo Franciszka nastawionym na popularyzację relacji natura-kultura, realizowanym przy współpracy z Fundacją Zakłady Kórnickie.

Zainspirowany tematyką tubylczą kilka lat temu zainicjowałem w Wielkopolsce projekt Made in Native America (MiNA), jako festiwal i program edukacyjny. Podczas spotkań, eventów i wykładów pokazujemy różnorodność tubylczej Ameryki – literaturę, muzykę, film i filozofię. W innym projekcie – Culture4Climate Film Festival – pokazujemy jak kultura i cywilizacja wpływa na stan środowiska i jak zmiany klimatu zagrażają różnym kulturom. Festiwal C4C był okazją do europejskiej premiery trzech tubylczych filmów („Bad River”, „Always Will Be There” i „Bring Them Home”), a także do pokazania nagrodzonego w wielu miejscach filmu „Yintah”. Od 10 lat wydajemy „Magazyn Wyspa Żółwia”, czasopismo popularyzujące różne tubylcze tradycje i kultury.

W Polsce od 14 lat organizujemy Bieg Na Rzecz Ziemi, jedną z najdłuższych europejskich kontynuacji Świętego Biegu. W tym naszym, duchowym Biegu do tubylczej narracji ochrony Ziemi i życia włączamy polskie troski i starania o uratowanie rodzimego dzie-

dziectwa przyrodniczego. Nie ścigamy się i nie bijemy rekordów. Skupiamy się na wspólnocie – w różnych miejscach Polski, cały czas pokazując, że maszerowanie i bieganie nie musi mieć wyłącznie sportowego, rywalizacyjnego charakteru. W 2026 r. mamy 25. edycję Biegu na 50. Złocie PRPI. Duży i mały jubileusz spotkały się w jednym czasie i miejscu.

Piszę o tym wszystkim nie po to, by się chwalić, ale pokazać, jak hermetyczny w latach 80. i 90. XX wieku świat indianerki, dziś stał się elementem szerszej narracji – bywa, że jesteśmy zapraszani do programów telewizyjnych i radiowych, by mówić o wydarzeniach z Kraju Indian, nasze teksty o sprawach tubylczych są komentowane i upubliczniane na szerokich forach publicystycznych, tłumacze z naszego kręgu są konsultantami tłumaczeń indiańskiej beletrystyki i publicystyki (a debata tłumaczy festiwalu MiNA stała się inspiracją dla wielu tłumaczy spoza naszego kręgu). Wiem, że nasi edukatorzy są zapraszani do szkół na zajęcia, a rekonstruktorzy często pojawiają się na festynach rocznicowych i rodzinnych, by poprzez zabawę pokazać całkiem poważny świat współczesnych Indian. Ba, dwa wydawnictwa indianistyczne – „Tipi” i „Foxes Books” – są wydawcami całkiem sporej liczby książek, które w znakomity sposób uzupełniają wiedzę historyczną, kulturową i społeczną.

Wielokrotnie się zastanawiałem, czy po pierwszych spotkaniach w kręgu PRPI nadal interesowałbym się sprawami Indian, gdyby nie realne z nimi spotkania już w pierwszych latach. To były te momenty, gdy „indianerka” dla mnie, ale i dla innych, zaczęła nabierać jeszcze głębszego wymiaru. Pierwszym Indianinem, którego poznałem w 1990 r., był Dennis Banks, który rozpałał moją młodościową wyobraźnię, nie tylko jako twórcę Sacred Run, ale jako współzałożyciel

Ruchu Indian Amerykańskich – człowiek-legenda z amerykańskich opowieści o walce Indian o prawa człowieka. Z czasem, gdy on sam przekierowywał swoją aktywność z polityki na sprawy duchowe i związane z Ziemią, stał się moim pierwszym inspiratorem dla Biegu Na Rzecz Ziemi.

Innym ważnym Indianinem w moim życiu był – także poznany w 1990 r. – Pete Lone Elk, Lakota, który mówił mi wtedy, bym uczył się angielskiego, bo on chce ze mną utrzymać stały kontakt. Niestety, pięć lat po Biegu odszedł na zawal serca, ale odnalazłem Polaków, którzy także znali go bardzo dobrze i niezwykle ciepło go wspominają, jako przyjaciela Polaków – i dzięki temu możemy go wspominać do dziś. Mam szczególny symboliczny związek z Pete’em i jego rodziną, bo dzięki ich decyzji stałem się opiekunem jego Fajki. Ale Indian było więcej, poznawanych na różnych etapach mojego życia: Goodshield Aquilar (Lakota/Yaqui), Lee Jackson (Chumash), Emmet Eastman (Lakota), Robert Soto (Apache Lipan), Joanne Shenandoah (Oneida), Leon Rattler (Blackfeet), Dennis Shorty (Kaska Dena), Amancio Chiari (Guna), James Robideau (Lakota). Z kilkoma innymi – z plemion Shoshone, Anishinaabe, Lakota, Cree, Navaho, Comanche – koresponduję poprzez Facebooka.

Nie byłoby tej mojej aktywności, gdyby nie było polskich nauczycieli, inspiratorów i przyjaciół, którzy zasilają mnie wiedzą, odwagą i jednocześnie pokorą. Jest ich wielu, ale tymi, których najczęściej męczę o różne sprawy i odpowiedzi są: Ewa Stańska, Marek Nowocień, Dariusz XL Lipecki, Anna B. Peichert, Marek Długosz, Marek Maciołek, Bartosz Stranz, Włodek Rybicki, Milo Jovic, Bartosz Hlebowicz, Grzegorz Dziabas, Maniek Nalepa, Artur Zieliński, Krzysztof Jawor, Waldek Kuligowski. Bardzo im wszystkim dziękuję!

Krzysztof M. Mączkowski

Nie było czasu, żeby spać

Mieszkałam w małej wielkopolskiej wsi. Może ciekawość świata, a może empatia do istot ludzkich i zwierzęcych, zwłaszcza tych krzywdzonych, spowodowała, że w jakiś szczególny sposób zafascynowali mnie Indianie. Nie umiem określić dlaczego właśnie oni. Ale coś „zagrało mi w duszy”. Początki były banalne: westerny, Karol May, Szklarscy, a potem pojawił się jeszcze Sat-Okh. W „Tele-ranku”, w czasopiśmie dla młodzieży „Płomyk”. Być może to jednak on spowodował, że moje zainteresowanie się pogłębiło.

Próbując znaleźć osoby o podobnych zainteresowaniach napisałam do „Płomyka”. Był tam dział, który umożliwiał znalezienie osoby o podobnych hobby. Opublikowano mój adres. Odezwało się kilka osób, otrzymałam też wiadomość, która w jakiś sposób zaważyła na moim życiu. Odezwał się ktoś z Chodzieży z informacją o chęci zorganizowania zlotu takich jak ja osób. Cóż to było za przeżycie. Był 1976 rok, miałam wtedy 14 lat. Od razu zdecydowałam, że pojadę. Rodzice nie robili problemów. Ogólnopolski zlot odbył się jednak rok później, ale w 1976 roku poznałam już osobiście Jacka Przybyłaka z Chodzieży, do dzisiaj żywię do niego szczególnie ciepłe uczucia.

Pierwszy zlot, to było niezwykle wydarzenie. Chyba największe w moim piętnastoletnim życiu. Trochę bajka, trochę sen. Nawet trudno to określić. Spotkałam niezwykłych, ciekawych ludzi. Moja „westernowa” wiedza była właściwie minimalna, chłonełam więc

wszystkie informacje, a jeszcze bardziej atmosferę, zapach ogniska. Myślę, że nie było czasu, żeby spać podczas tych kilku dni.

Poznałam tam osobiście Sat-Okha i Leszka Michalika. Rozmawiałam się z nowo poznanymi przyjaciółmi. Zaprzyjaźniłam się z Krysią Gieroń z Wrocławia. Nie ma jej już niestety wśród nas, ale została pamięć o wspaniałej osobie oraz zdjęcia, których była autorką, a które jakże często przewijają się we wspomnieniach różnych osób.

To już pięćdziesiąt lat. Dawno, ale nie do końca. Niektóre emocje są nadal żywe. Wspomnienie Sat-Okha, Leszka, Krysi. Smutek, że ich nie ma, ale i radość, że istnieli i nadal są w moim życiu. Poznani na pierwszym zlocie, ale też mnóstwo tych, których poznałam później, wnieśli i nadal wnoszą do mojego życia ogromną wartość. Dziękuję losowi i chłopakom z Chodzieży, że znaleźli mój adres i zechcieli napisać. Moje poglądy na sprawy rdzennych mieszkańców ewoluowały, tak jak cały ruch, ale też świat. Inne jest postrzeganie świata w wieku 15 lat, a inne w wieku 65 lat. Ale dziecięca ciekawość i empatia pozostały. Wierzę, że na zawsze.

Kolejny zlot, w Bieszczadach (w 1978 roku), był równie ciekawy, ale to już zupełnie inna historia.

Aleksandra Ratajczak

Szanować swoje korzenie

Polska indianistyka a powstanie PRPI

Na wstępie należy rozgraniczyć, że polska indianistyka jest zjawiskiem znacznie starszym i ogólnym niż ruch, który powstał w jej środowisku w latach 1975-77. Ruch jest tylko jej częścią i w związku z tym każdy, kto czuje swoją przynależność do ruchu PRPI jest równocześnie polskim indianistą, ale nie oznacza to, że każdy Indianista musi czuć się uczestnikiem ruchu. Są Indianiści, którzy działają niezależnie od ruchu, idąc indywidualną drogą.

Początki polskiej indianistyki sięgają dawnych czasów, a po II wojnie światowej spośród fascynatów tematyki indiańskiej wyróżniło się m.in. kilka osób, które w jej rozwoju odegrały szczególną rolę. Byli to m.in. Stanisław Supłatowicz (Sat-Okh), Leszek Michalik, Stefania Antoniewicz (Indiańska Babcia) i Jacek Przybylak.

- Sat-Okh na przełomie lat 60. i 70. przyczynił się do wzbogacenia wiedzy na temat Indian poprzez swoje cykliczne występy w TV, w programach dla dzieci i młodzieży („Teleranek” - lata 60. i powtórka tych edycji w „Ekranie z Bartkiem” w latach 70.) oraz dzięki książkom „Biały Mustang”, „Ziemia Słonych Skał” i kilku innym.

- Leszek Michalik jako młody człowiek, począwszy od lat 60. zdobywał bogatą wiedzę na temat Indian i dzielił się nią z tymi ludźmi, z którymi udało mu się nawiązać kontakt. Tak działał wtedy i później poprzez całe życie będąc aktywnym propagatorem wszelkiej wiedzy na temat Indian, autorem kilku cennych książek, nieustrudzonym nauczycielem i gawędziarzem indiańskim. Obaj – Sat i Leszek – w dużym stopniu przyczynili się do rozwoju polskiej indianistyki i mają na tym polu nieocenione zasługi.

- Stefania Antoniewicz. Trzecią osobą ważną wśród polskich Indianistów była Indiańska Babcia z Warszawy, dzięki której od 1977 r. mieliśmy informacje na bieżąco o AIM i Naturalnych Duchowych Drogach. Babcia była pełna uznania dla utworzonego ruchu i dawała przekaz duchowy oraz kobiecą energię. Przebywając w jej pobliżu, ulegało się urokowi polegającemu na przestrzeni, którą tworzyła, wynikającej z jej wrażliwości, mądrości, naturalności, bezpośredniości i duchowo wizjonerskiej charyzmy. Dzięki kontaktom z nią, informacjom i materiałom uzyskiwanych od niej w postaci tłumaczeń z indiańskich czasopism „Akwasasne Notes” i „Many Smokes”, ideologia powstającego w połowie lat 70. ruchu stawała się bardziej dojrzała i pełna duchowej głębi.

Istnienie Babci odkrył w 1977 r. Piotr S. z Warszawy, który dzięki artykułowi w gazecie uzyskał jej nr telefonu. Piotr wcześniej był kilka razy w Chodzieży i mieliśmy z nim stały kontakt. Zaczął u niej bywać i przysyłać nam informacje oraz tłumaczenia z indiańskich czasopism już przed I zlotem. Zaraz po zlocie pojechaliśmy do Babci, by ją poznać bliżej - Chodzieżacy Jacek, Mokaszi, Marek i ja oraz Anka i Kasia ze Szczecyna. Byliśmy pod wrażeniem jej osobowości i duchowej siły. Dużo wtedy się działo, byliśmy młodzi i energia nas rozpierała. Kontakty były intensywne. Jeździliśmy do siebie, ponieważ nie było komórek i internetu, tylko poczta, telefony stacjonarne, koleje i autobusy.

Indiańska Babcia Stefania Antoniewicz była najważniejszą duchową orędowniczką AIM-u w Polsce. Plakatami napływającymi do niej wraz z numerami „Akwasasne Notes” obdarowywała ludzi z ogólnopolskiego ruchu powstałego z inicjatywy Jacka i grupy chodzieskiej. Babcia bardzo się ucieszyła, że stworzyliśmy coś takiego jak ruch. Uważała, że to cenna inicjatywa i wspierała nas materiałami. Podczas

jednego ze spotkań Babcia podarowała mi plakat „WE REMEMBER WOUNDED KNEE”, który mam do dzisiaj i bardzo go cenię. Materiały od Indian otrzymywane przez Babcię, które docierały do Chodzieży już przed pierwszym zlotem dzięki Piotrowi S. a później Jurkowi T. i innym, miały duży wpływ na kształtowanie się naszej świadomości i ideologii ruchu. Gdy Babcia odeszła w inną przestrzeń, niewielkie grono przybyło, by Ją pożegnać - kilka osób z rodziny, trochę przyjaciół i znajomych z Warszawy oraz my, grupa ludzi z ruchu. Przez Babcię poznaliśmy też Indianina Lakota Jamesa Brennera, który mieszkał przez kilka lat w Polsce. Przyjechał do nas, do Chodzieży z Piotrem S. z Warszawy. Zależało mu, by przetłumaczyć światowy bestseller „Pochowaj me serce w Wounded Knee”. Posługiwał się polskim językiem na tyle, że się rozumieliśmy. Spotkanie z nim bardzo głęboko zapisało mi się w pamięci, jako z człowiekiem bezpośrednim, wrażliwym, pełnym osobistego uroku oraz szacunku do innych i świata.

- Jacek Przybylak - inicjator powstania Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian i jego główny współtwórca w latach 1975-77. Jako pierwszy zorganizował ogólnopolskie spotkanie indianistów. Do niego przyjeżdżali indianiści z całej Polski, z którymi nawiązał kontakt dzięki kilkuletniej mrówczej pracy szukania adresów z ogłoszeń w gazetach i przez „pocztę pantoflową”. Na przełomie lat 1960-70 założył w Chodzieży Grupę Indianistów „Delawarów” a potem „Dakotów”. Jeździł sam lub w towarzystwie tej grupy do Indianistów z całej Polski. W początku lat 70. postanowił zorganizować pierwszy w Polsce zlot ludzi interesujących się Indianami. 23 sierpnia 1974 r., by o tym porozmawiać, wybrał się złożonym przez siebie rowerem „Jaguar” do Leszka Michalika w Sztumie, adres miał z gazety. Okazało się, że Leszek też o tym myślał, ale nie był w stanie zająć się organizacją tak dużej imprezy. Studiował wtedy w Gdańsku i nie miał jeszcze w Sztumie ludzi, którzy mogliby mu pomóc. Sztumską grupę „Żółwii” udało mu się utworzyć dopiero w kwietniu 1980 r. Powiedział Jackowi, że takie zloty odbywają się w NRD i Czechosłowacji i że jeśli uda się zorganizować ogólnopolskie spotkanie, chętnie na nie przyjedzie podzielić się wiedzą oraz poznać innych indianistów. Do tej pory miał tylko trochę indywidualnych kontaktów z ludźmi z kraju i z zagranicy.

Indiańskie ścieżce Jacka i moje, zetknęły się jesienią 1974 roku. Wcześniej założyłem grupę indianistów „Apaczów Mescalero” w Nietuszkowie, urokliwym pod względem przyrody i ukształtowania terenu miejscu niedaleko Chodzieży, na obrzeżu Doliny Noteci. Gdy poznałem Jacka, mówił z pasją, że chce zorganizować pierwsze spotkanie polskich indianistów. Pomyślałem, że to śmiały i mało realny plan, gdyż w czasach PRL-u nie było łatwe organizowanie prywatnych imprez z dużą ilością osób bez zezwolenia władz. Jednak widząc jego determinację, uwierzyłem w sprawę i jej powodzenie. Przyłączyłem się do jego grupy i starałem się pomóc w realizacji tego przedsięwzięcia. W 1974 r. Jacek wraz z chodzieską grupą zaczął intensywnie zbierać adresy ludzi z Polski interesujących się Indianami.

Na początku lat 70. indianiści poważniej interesujący się tematem zwykle się nie znali, nie mieli ze sobą kontaktu i często nie wiedzieli o swoim istnieniu. Tematyka indiańska była dość popularna, jednak funkcjonowała głównie na poziomie wyobrażeń wynikających z kiepskiej literatury i filmów. Mało też było wtedy ludzi lub grup interesujących się głębiej tematem. Wcześniej nie było też realnych inicjatyw organizacji ogólnopolskiego zlotu Indianistów. Jacek marzył o zrobieniu zlotu i razem z ludźmi z założonej przez siebie grupy „Dakota” udało mu się tego dokonać.

Planując zorganizowanie pierwszego zlotu, nie mieliśmy świadomości, że równocześnie zainicjujemy powstanie ruchu. W efekcie, po kilku latach zbierania adresów przez Jacka i naszą grupę (w skład której wchodził też Witold N. (Mokaszi), Roman M., Marek K. i Andrzej M.), nawiązywania kontaktów korespondencyjnie, telefonów (stacjonarnych, jak ktoś miał) i odwiedzin, zaczął tworzyć się ruch, a kontaktów uzyskaliśmy już tyle, by móc zrobić pierwszy zlot.

W latach 1975-77, obok indywidualnych osób z Polski, z którymi udało się nawiązać kontakt, były dwie grupy: „Mescalarki” - 3 uczennice liceum w Pucku i „Catawba” uczniowie Technikum Leśnego w Rzepinie. Założycielka „Mescalerek” Hania - Sakahet często bywała u nas, w Chodzieży, zajrzała na zlot zerowy, zorganizowała dwa mniejsze spotkania we Władysławowie. Hania była jedną z pierwszych osób, które uczestniczyły w powstawaniu ruchu zainicjowanego przez naszą grupę. Hania, mimo że nie była na I zlocie ani na kolejnych, często przyjeżdżała do Chodzieży i do innych ludzi z ruchu na mniejsze spotkania, była aktywną uczestniczką ruchu, działała w nim do 1979 r. Wodzem grupy „Catawba” był Krzysztof Zawojski - Atahualpa, mieliśmy z nim kontakt od ok. 1975 r. Przed I zlotem miały miejsce dwa spotkania grupy chodzieskiej z „Catawbami” - w Puszczykównku, gdzie przyjechali w ramach wycieczki szkolnej pod opieką nauczyciela i w Rzepinie, na terenie Technikum Leśnego, dokąd wybrali się chodzieżacy Jacek z Witkiem-Mokaszim. Od pierwszych kontaktów z nimi Jacek Przybylak mówił im o zamiarze zorganizowania pierwszego zlotu Indianistów w Chodzieży. Rzepińska grupa była liczna, co najmniej kilkunastuosobowa. Mimo że wcześniej wyrażali chęć przyjazdu na I zlot, jednak gdy doszedł do skutku, przyjechał od nich tylko Krzysztof z dwoma kolegami. Po I zlocie kontakt z nimi się urwał (choć sam klub w Rzepinie przetrwał wiele lat).

Nawiązywanie kontaktów było początkiem powstania ruchu i trwało do pierwszej próby zorganizowania zlotu 25 czerwca 1976 r. - w 100. rocznicę Bitwy nad Little Bighorn. Komunistyczne władze krótko przed terminem zlotu zabroniły, by się odbył. Z bólem serca trzeba było odwołać... Pamiętam jak Jacek pod wpływem tej decyzji powiedział wkurzony: „Pier.le, nie robię żadnego zlotu!”, na co - też nie będąc w najlepszym nastroju - odpowiedziałem: „Jacek, spokojnie, zrobimy za rok, ale już nie z okazji rocznicy, tylko jako zlot fikcyjnych kół zainteresowań kulturą Indian”. I za rok udało się! Daliśmy też ogłoszenia w prasie młodzieżowej, więc przyjechało więcej ludzi.

ZLOT ZEROWY. Ponieważ zlot w 1976 r. , na którym miało być kilkadziesiąt osób z Polski oraz zaproszeni indianiści z NRD i Czechosłowacji zabroniły władze, Chodzieżacy zrobili kameralne spotkanie. Zlot „zerowy” był lokalnym spotkaniem, na które przyjechał też Majk z Torunia (bo nie dotarła do niego informacja o odwołaniu I zlotu). Przyjechała też Sakahet z Pucka z koleżanką z grupy „Mescalerek”. Jej wizyta jest uwieczniona na filmie 8 mm. Już przed I zlotem kontaktów zaczęło być coraz więcej i stwierdziliśmy, że warto stworzyć system kontaktowy, dzięki któremu będziemy wysyłać z Chodzieży informacje i materiały do wyznaczonych ludzi, a oni powielą je i rozeszła w swoim regionie.

I ZLOT CHODZIEŻ 1977. Uczestnikami I zlotu była młodzież, często niepełnoletnia, nie dysponująca własnymi namiotami. Jacek wymyślił, by wykorzystać namioty rozbite przez harcerzy dla obozu TPD (Towarzystwa Przyjaciół Dzieci). Były to 10-osobowe tzw. wojskowe „beczki”. Zostawiono je nam po uzyskaniu od nas deklaracji, że po zlocie je zwiniemy i uprzątniemy teren. To załatwiało nam sprawę noclegów. Złotowiczów mających powyżej 20 lat można było policzyć na palcach dwóch rąk, wraz z rodzicami niepełnoletnich uczestników. Byli to głównie Sat-Okh, Leszek Michalik z żoną Elke, Maria Cz. z Wojtkiem z Warszawy, rodzice uczestników oraz Jacek i ja. Jako ciekawostkę dodam, że mieliśmy wtedy z Leszkiem po 22 lata, Jacek 21, a pozostali członkowie chodzieskiej grupy byli od Jacka o 3 lata młodszy. Na zbiorowe obiady ujęte w ramach opłaty zlotowej chodziliśmy przez las do pobliskiej restauracji „Amfiteatralna”. Nic nie jest w stanie oddać emocji tych bardzo młodych ludzi, którzy pierwszy raz

spotkali się w grupie tak samo zakręconych na punkcie Indian osób, uważanych często w swoim środowisku za dziwaków. Na pierwszym zlocie powołaliśmy okręgi z „wodzami kontaktowymi” w celu ułatwienia przesyłania materiałów na temat Indian oraz informacji o spotkaniach i innych inicjatywach. Chodzież była centrum kontaktowym siatki, z którego rozsyłane były wiadomości do poszczególnych okręgów. Jacka Przybylaka obrano głównym wodzem w chodzieskim centrum ruchu. Dzięki temu, że ludzie spotkali się na zlocie i usprawniono kontakt przez utworzenie siatki kontaktów, nastąpił intensywny rozwój ruchu, do którego rozwoju przyczyniali się jego wszyscy uczestnicy.

Jacek Przybylak zaprosił Sat-Okha na I zlot w Chodzieży jako gościa honorowego. Sat-Okh przyjechał i dzielił się na nim wiedzą. Jako osoba znana z TV, cieszył się wielką popularnością i zainteresowaniem. Na kolejne zloty nie przyjeżdżał, zjawiał się dopiero na jubileuszowym X zlocie po 10-letniej przerwie. Potem był jeszcze na niektórych zlotach. Leszek Michalik był na I zlocie, ale nie pojawił się na drugim i trzecim. Miałem wrażenie, że nie chciał identyfikować się zbyt mocno z dość luzacką formą ruchu, którą nadała inicjująca jego powstanie chodzieska grupa. Leszek pojawił się na IV zlocie, mając nadzieję skierowania luźnej inicjatywy na jakieś bardziej uregulowane tory, ale ruch działał się spontanicznie i nie dało się go „ułożyć”. Tak już zostało z wszelkimi tego konsekwencjami pozytywnymi i negatywnymi. Zarówno Sat-Okh jak i Leszek Michalik, mimo że nie podobała im się luzacka forma ruchu, bywali na niektórych zlotach, podczas których godnie ze swoją pasją i powołaniem dzielili się bogactwem wiedzy, gdyż były to najliczniejsze spotkania polskich Indianistów. Indiańska Babcia Stefania Antoniewicz nie przyjeżdżała z racji zdrowia, ale była aktywistką działającą na rzecz Indian i wspierała nas materiałami oraz dobrą energią.

II ZLOT W BIESZCZADACH. Organizowali go Tadeusz P. z Kent i Maria W. z Dębicy. Organizacja zlotu była pilotowana przez Jacka Przybylaka i jego chodzieską grupę zdalnie i potem na miejscu w czasie jego trwania. Mało ludzi dziś pamięta, że gdy na zlocie pojawił się patrol milicji, tylko pisma okazane im przez Jacka uratowały nas przed rozprawieniem na „cztery wiatry” jako uczestników nielegalnej imprezy. Pismo załatwił wcześniej Jacek po znajomości u komendanta ZHP w Chodzieży. W piśmie było że zlot w Horodku odbywa się pod patronatem harcerstwa. Było to bardzo naciągane, bo poza tym pismem, zlot z harcerstwem nie miał nic wspólnego. Milicjanci żądali też okazania zezwolenia na spotkanie tak dużej grupy ludzi. Wszystkie pisma załatwiane z miejscowymi władzami, dotyczące miejsca, ilości uczestników itp. zostały milicjantom przedstawione. Wtedy odpłynęli. A i tak była na zlocie spora grupa hipisów - Indianistów, którzy nie byli ujęci w oficjalnym wykazie uczestników. Budziliśmy nieufność, bo zlot w niczym nie wyglądał na imprezę harcerską, ale papiery były w porządku i formalnie nie było się do czego przyczepić. Mieliśmy z Jackiem doświadczenie, bo wcześniej dwa razy przechodziliśmy przez załatwianie takich formalności. Dlatego Tadeusz i Maria, organizując zlot, chętnie korzystali z wiedzy, rad i wskazówek Jacka. Ogólnie zlot w Bieszczadach był luzacki, pełen spontanu i swobody. Chcieliśmy żeby to był luźny ruch, a nie wymuszona przez PRL-owski system organizacja, więc załatwiliśmy formalny płaszczyk. Reszta, to już był nasz świat i władze nie miały pretekstu, by dać szlaban na tak organizowane zloty. Tak powstawał ruch.

I II zlot odbywały się pod załatwionym po znajomości „patronatem” harcerstwa. Dawało to spotkaniom znamiona legalności. III i IV zlot były pod patronatem Młodzieżowego Domu Kultury - nie wtrącano się do imprez i działaliśmy według uznania. Gdyby nie te patronaty, na zlocie mogła zjawić się milicja, kazać się rozejść, a organizatorów brać na przesłuchania, które w tamtych czasach nie należały do „przyjemnych”, czego niektórzy z nas doświadczały.

Gdy zainicjowaliśmy powstanie ruchu, nie chodziło nam tylko o Indian. Chodziło też o nas, to była nasza droga w realia, jakie nas otaczały. Indianie byli dla nas inspiracją, od nich czerpaliśmy pozytywne

wzorze i wiedzę, ale nie chodziło o to, by ich we wszystkim sztywno naśladować. Żyliśmy w naszym świecie i staraliśmy się te wzorce łączyć ze współczesnymi realiami. W przekazie, który płynął do nas od Indian, czuliśmy powiew świeżej energii pośród sztywnych schematów świata, który tak bardzo oddalił się od natury. Zaczęliśmy żyć innym życiem, to było inne widzenie otaczającej nas rzeczywistości, bliższe natury. Świadomość, że wszystko na świecie jest ze sobą połączone daje całkiem inną perspektywę i powoduje inne działanie. Tak więc gdy minął czas ślepej młodości ekscytacji Indianami stwierdziliśmy, że możemy się z nimi duchowo integrować oraz solidaryzować w walce o ich prawa, wspierać w tej walce, ale nie ma sensu udawać, że jesteśmy Indianami. W pierwszych latach rozwoju ruchu różne były koncepcje, jaki w nim obrać kierunek i jaki charakter ma mieć to, co właśnie powstało. Czy nadal ma być niesformalizowanym ruchem, czy lepiej, żeby ktoś nad tym panował i tym zarządzał. Jako inicjatorzy ruchu chcieliśmy, by ruch pozostał spontaniczny.

Dlatego po pierwszych czterech zlotach, gdy już kontakty między ludźmi rozwinęły się na tyle, by ruch zaczął istnieć samoistnie, przestaliśmy w nim przewodniczyć i nadaliśmy mu wolny charakter bez żadnych sztywnych struktur. W pierwszych latach istnienia ruchu różne były koncepcje na temat jego ostatecznej nazwy. Używana w pierwszych latach nazwa „złoty KZKI czyli Kół Zainteresowań Kulturą Indian” była zmyłką dla władz, by nadać pozór, że są to złoty legalnie istniejących kół. Tymczasem były to złoty indywidualnych ludzi z Polski. Nazwa KZKI to był mój pomysł i sprawdziła się w czasie komuny. Jacka pomysłem było, by posłużyć się przy zorganizowaniu I i II zlotu szyldem harcerstwa, co dawało nam parasol ochronny. Ruch Ludzi Natury (RLN) był jedną z propozycji na nazwę, ale nie ujmowała ona naszego związku z Indianami, inspiracji ich duchowością i wiedzą. Dlatego w końcu na V zlocie w 1981 r. zdecydowano się na nazwę Polski Ruch Przyjaciół Indian. Może nie ujmowała ona wszystkiego o co nam chodziło, ale była. W czasach komuny PRPI dawał nam poczucie wolności ducha i był enklawą wśród szarej rzeczywistości, dawał większe poczucie bliskości z naturą i radość, że są ludzie, z którymi możemy dzielić ten stan.

Chcieliśmy żeby to, co tworzymy, było ruchem, a nie zarejestrowaną organizacją ze statutem i regulaminem. Udało się i jesteśmy z tego dumni. Może dlatego ruch przetrwał do dziś. Gdybyśmy zrobili z tego organizację, której chcielibyśmy przewodzić bez końca, powstałby twór typowy dla białych społeczeństw. Na szczęście nie mieliśmy ambicji przywódczych by wciąż nadawać ton temu, co udało nam się zainicjować. Niektórzy nas obwiniali, że jest to zbyt luźne i spontaniczne. Chcieli też, by ograniczać się do ortodoksyjnego naśladowania tradycji Indian z okresu ich świetności, bez uwzględniania naszej tożsamości i rzeczywistości, w której żyjemy. Dla nas ruch był osadzony w realiach, w jakich żyjemy. Nie chodziło nam o naśladowanie kultur Indian, tylko o czerpanie od nich i wzbogacanie się o to, co najcenniejsze. Indianie uczą, by szanować swoje korzenie. Można wzbogacać się o wartości z innych kultur, nie zatracając swoich korzeni – to według mnie jest główna idea PRPI.

III ZLOT organizowany był przez chodzieską grupę w Chodzieży nad Jeziorem Karczewnik. Z powodu wspaniałej atmosfery zyskał miano „Słonecznego”. Staraliśmy się wprowadzać zwyczaj, że organizator załatwia miejsce, tyczki do tipi i formalności, a uczestnicy przygotowują punkty programowe.

IV ZLOT organizowałem sam w Chodzieży, obok miejsca III zlotu, z pomocą merytoryczną Jacka Przybyłaka. Pozostali ludzie z chodzieskiej grupy nie pomagali mi, gdyż Witek N.- Mokaszi był w wojsku, Marek K. we Wrocławiu, a Roman M. i Andrzej M. przestali się udzielać. Na zlocie było niewiele punktów programowych, gdyż nie był nastawiony na program, a bardziej na wzajemną integrację i ustalenie co dalej z ruchem - organizowanie kolejnych zlotów mieli przejąć uczestnicy. Na tym zlocie odbyła się w moim tipi narada na temat

przyszłości ruchu. Inicjatywa kontynuowania kolejnych zlotów przetrwała, gdyż zorganizowania V Zlotu podjęli się Piotr C. i Andrzej R. i w 1981 r. odbył się on w Borach Stobrawskich koło Opola.

Gdy po czterech zlotach ruch rozwinął się na tyle, by działać nadal samoistnie, oddaliśmy inicjatywę organizacji kolejnych zlotów w ręce pozostałych uczestników, sami pozostając nadal aktywnymi działaczami. Nie mieliśmy z Jackiem ambicji przywódczych i nie chcieliśmy, by zmienić PRPI w organizację pod naszym przewodnictwem. Gdybyśmy wtedy ruch zmienili w bardziej uregulowaną organizację, (czego domagali się niektórzy), zapewne rozpadłaby się ona po kilku latach, bo ludzie zaczęliby rywalizować o przewodnictwo. Chcieliśmy, aby to był swobodny ruch działający i rozwijający się spontanicznie. Jak wiadać od 50 lat ruch istnieje nadal, działa i ma się dobrze. W Chodzieży organizowane były potem jeszcze 3 złoty jubileuszowe X, XV i XX.

Leszek Michalik, kontynuując swoją drogę, założył w 1980 roku w Sztumie grupę Żółwi propagującą bogactwo kultury materialnej i duchowej Indian. W skład grupy wchodził członkowie rodziny i osoby chcące realizować się poprzez taką ścieżkę. W tym samym roku odwiedził Indianką Babcie Stefanię Antoniewicz, która otrzymywała pismo „Many Smokes” wydawane przez Sun Beara, duchowego przywódcę wspólnoty Bear Tribe. Leszek nawiązał kontakt z Sun Bearem i zaczął uczestniczyć w spotkaniach z nim w NRD i nabywać wiedzę w zakresie naturalnych duchowych dróg. Organizował potem w Sztumie coroczne spotkania, na których przez wiele lat dzielił się swoją wiedzą. Przekazywał też nauki, jakie otrzymał od duchowego nauczyciela Sun Beara. Wiedziałem, że jest coś w rodzaju charyzmatycznej mocy w tym co robi, ale najbardziej przekonałem się o tym gdy podczas uroczystości otwarcia XX Zlotu PRPI w Chodzieży, w trakcie prowadzonego przez niego tańca grupy ze Sztumu, nad zlotem pojawiła tęcza jako krąg wiszący w górze. Wcześniej widywałem tęczę jako łuk, albo dwa łuki łączące krańce horyzontu, ale nigdy jako pełen krąg wiszący jak tęcza aureola. Jeżeli takie zjawiska czasem się zdarzają, to myślę, że to nie przypadek, że tak się stało akurat w tym momencie. Od tej chwili zlot był nazywany „Zlotem Tęczowym”.

XX ZLOT CHODZIEŻ 1996. Po 20. latach 10-osobowa grupa z Chodzieży zorganizowała też najliczniejszy, lub jeden z najbardziej licznych, zlotów. To pierwszy zlot, na którym były toi-toie, umywalnie z bieżącą wodą, porządna jadłodajnia i faktoria, telebim do wyświetlania filmów indiańskich, zlotowe przedszkole dla wytchnienia rodziców itd. Potem były głosy, że zlot był „komercyjny”... Warto sobie wyobrazić jakby wyglądał pobliski las, gdyby nie było toi-toiów, lub jakby sobie radzili rodzice z małymi dziećmi bez umywalni. Wiem, ile organizacja zlotów kosztuje trudu. Dlatego szacun dla innych organizatorów, gdyż bez względu na czasy, nigdy nie było i nie jest to lekkie zadanie.

Wielki szacunek i wsparcie należy się tym, którzy podejmują się organizowania kolejnych zlotów. Jest to spore wyzwanie, więc starajmy się im pomagać i uczestniczyć w przygotowaniu programu. Organizator zapewnia miejsce, warunki socjalno-bytowe oraz wiele innych spraw, by zlot mógł się odbyć, a program organizują zlotowicze. Tu wielkie zadanie dla nas wszystkich i dla Rady Zlotu. Złoty są nasze i dla nas, i wszyscy je współtworzymy.

Zbliża się termin 50. zlotu. W związku z tym chcielibyśmy z Jackiem wyrazić podziw i uznanie wszystkim uczestnikom ruchu, działaczom i aktywistom. Wraz z naszą grupą zaczęliśmy to, ale dzięki Wam ruch istnieje nadal i te wszystkie lata jego działalności stworzyły wielki dorobek: wiedzę, pisma takie jak „Tawacin”, książki wydawane m.in. przez TIPI, kolejne powwow, wioski indiańskie, różnego rodzaju spotkania i inne formy przekazu. A najcenniejsze są chyba relacje między ludźmi w ruchu, jakie powstały poprzez wszystkie lata jego istnienia.

Jan Łażewski

Tak rodzili się indianiści

Czas, w którym żyłem, gdy powstawał Ruch, oferowały zupełnie inne możliwości rozwoju swojej osobowości, niż to, co mamy teraz. Podstawą była wiara wyniesiona z domu. Szkoła uczyła patriotyzmu i romantyzmu - tzn. doskonałego świata opartego na duchowości. A to wszystko można było znaleźć wtedy tylko w literaturze pięknej. Gdy dodamy westerny z tego okresu, to ukształtuje się w nas idea szukania tego co dobre i jest podobne do naszej mentalności. Bóg, Honor i Ojczyzna - to wynosiło się z domu. Idealnie w ten wzorzec wpasowywał się obraz Indianina wykreowanego na przełomie XIX i XX wieku. Był to obraz człowieka wojownika - walczącego za swój kraj, za swoją rodzinę i wiarę. Szlachetność i duma z tego kim jestem zachęcała młodych ludzi do naśladowania. Tak było i ze mną. W 1965 roku to były zabawy grupowe w Indian z dziećmi z podwórka. Od 1967 roku było to już zbieractwo materiałów o Indianach i czytanie literatury pięknej oraz historycznej. Przez kolejne lata rodziła się więź emocjonalna. Gdy w 1973 wybuchła rebelia Siuksów w Wounded Knee, chciałem „coś” dla walczących zrobić. Z tej determinacji w sylwestra 1973 roku powołałem z kolegą Jurkiem Mańką i jego bratem Arkiem „Koło Indianologów Catawba”. Nazwę wzięliśmy z publikacji „Indiani Pióropusz”, w której napisano, że plemię Catawba wyginęło. Chcieliśmy upamiętnić to plemię. Po latach, dzięki kontaktom z redakcją czasopisma Mohawków „Akwasne Notes”, dowiedzieliśmy się, że w 1977 roku toczy się proces prawny o odtworzenie rezerwatu dla potomków tego plemienia.

Rok 1975 to już powołanie na terenie Technikum Leśnego w Rzepinie Koła Miłośników Kultury Indian „Catawba”, które ze względów politycznych musiało być przypisane do istniejących organizacji młodzieżowych. Wybraliśmy ZHP.

Dla kolegów z naszego otoczenia w szkole to był szok. Było trochę uszczypliwości - ale „indiańska” wytrwałość pomogła to przetrwać. Później był już szacunek. W trzy miesiące po zaistnieniu, dzięki dobrej organizacji wewnętrznej, byliśmy najbardziej rozpoznawalnym klubem województwa gorzowskiego. Tak rodzili się indianiści.

Z innymi środowiskami indianistycznymi zetknąłem się po roku 1975. Najpierw było pierwsza podróż do Sat-Okha i Leszka Michalika, którzy zaoferowali pomoc w zakresie wiedzy i kontaktów bezpośrednich z Indianami. W kolejnych latach to nawiązanie współpracy z Kołem Dakota w Chodzieży i Państwem Posern-Zielińskimi w Poznaniu. Równolegle

zajęliśmy się jako Klub integracją środowisk małych rozproszonych po kraju tworząc koła lokalne. Średnio, koło liczyło 3-5 członków.

Pierwszy zlot dla miłośników Indian miał odbyć się w Ośnie Lubuskim nad jeziorem. Trzy miesiące przed I Zlotem w Chodzieży, przyjechał Jacek Przybylak i prosił abym odstąpił mu prawo pierwszeństwa organizacji zlotu, bo jest chory i bardzo chciałby spełnić to swoje pragnienie. Mimo dużego zaangażowania środków technicznych i gminy - zgodziłem się na zmianę lokalizacji zlotu. Po latach okazało się, że to był blef...

Na naszym wspólnym spotkaniu uzgodniliśmy, że koła lokalne zostaną uwolnione od bazy matki, tj. Klubu Catawba i powstanie wolny ruch indiański. O tych działaniach wie dziś tylko kilka osób!

Pierwszy zlot w Chodzieży to ponowne spotkanie z Leszkiem Michalikiem i Stanisławem Supłatowiczem. Tam też poznałem swoją przyszłą żonę Elżbietę. Była to okazja do spotkania z przyjaciółmi, których poznałem po utworzeniu Klubu Catawba, a byli rozsiani po całej Polsce.

Jak zmienił się Ruch? Myślę, że w mentalności niewiele się zmienił. Dziś to bardziej hobby. Dawniej były pewne idee, które realizowaliśmy na zasadzie entuzjazmu i woli walki o tych ludzi. W tej grupie są zawsze wyjątki - nie wszystkich trzeba dawać do jednego kosza.

Jak mówić o Indianach w XXI wieku? Aby zrodziła się odpowiedź, musi najpierw zaistnieć fascynacja. To niesie czasami skutki uboczne, jak zawłaszczanie kultury indiańskiej i wyjście z własnej kultury. Czasami zapominamy, kim jesteśmy we własnym narodzie.

Naród identyfikuje się z rasą, kulturą i religią. Naśladowanie kultury - staje się utopią, gdyż nie wnosimy nic do przyjmowanej kultury, a gubimy własną. Mój przyjaciel Mieciu Sobczak - zostając szamanem Nawaho - powiedział: „oni mnie przyjęli, bo miałem w sobie tego polskiego ducha zrodzonego z własnej kultury i religii, i prosili bym tego nie zgubił w życiu”.

Co daje PRPI ludziom? Nie będę oceniał Ruchu, bo choć czuję się jego częścią, zawsze trzymałem się z boku, aby ten ruch ewoluował we właściwym kierunku. Czy Idea została - niech ocenią młodzi!

Krzysztof Zawojski



Leszek Michalik – indiański ojciec

Nad moim łóżkiem wciąż jeszcze wisi para maleńkich mokasynów, które tata wykonał tuż przed moimi narodzinami. Kwiatowy wzór, wyhaftowany koralikami na powierzchni delikatnej irchy z pewnością nawiązywał do wzornictwa ulubionych przez ojca Indian leśnych. Odkąd tylko sięgam pamięcią, kultura rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej była nieodłączną częścią naszego rodzinnego życia. Pamiętam z dzieciństwa spoglądające na nas ze ściany surowe twarze indiańskich wodzów, do tego wszechobecne elementy rękodzieła i potężną już wtedy bibliotekę taty. Na biurku ojca, pośród tysiąca najróżniejszych przedmiotów, piętrzyły się słoiczki i pudełeczka wypełnione kolorowymi paciorkami. W naszym domu indiańska filozofia swobodnie przeplatała się z tym, co przynależało do naszej rodzimej kultury.

Przed każdym większym przedsięwzięciem trzeba się było okadzić szałwią. Tipi było naszym letnim domem, a podarek w postaci pióra rzadkiego ptaka – wyróżnieniem. Matka Ziemia stała się w naszej rodzinie obiektem takiej samej nabożności jak dla innych Matka Boska. Wychowywaliśmy się z bratem Piotrem się w domu pełnym gości, otwartym na świat i odmienne kultury. W naszej kuchni zasiadali naukowcy, dziennikarze oraz przyjaciele rodziców z odległych części świata. Najczęściej jednak odwiedzało nas grono kolorowych „ciotek” i „wujków”, określających siebie jako „indianiści”.

Już od wczesnych lat 70. XX w. ojciec popularyzował tematykę pierwszych ludów Ameryki, skupiając wokół siebie coraz szersze grono ludzi zainteresowanych ich kulturą. Nawiązał liczne kontakty z Indianami z USA i Kanady oraz pasjonatami kultury indiańskiej w Europie. Przełożył wiele trudno dostępnych tekstów źródłowych z języka angielskiego na polski. Dzięki takim materiałom pierwsi polscy indianiści mogli głębiej poznać kulturę duchową i materialną, jak również wniknąć w problematykę społeczno-polityczną współczesnych Indian.

W 1977 r. wspólnie z chodzieską grupą „Dakotów” zorganizował pierwszy polski zlot miłośników i przyjaciół Indian. Został również dumnym posiadaczem pierwszego w Polsce tipi. Dwa lata później uznano naszego ojca dożywotnym członkiem Stowarzyszenia Metyśów i Indian bez Statusu z kanadyjskiej prowincji Saskatchewan. Legitymacja istnieje do dzisiaj. W 1980 r. wraz z młodszym bratem Sławomirem oraz braćmi Leonem i Janem Rzatkowskimi ojciec założył Koło Zainteresowań Kulturą Indian „Stowarzyszenie Żółwi”, z siedzibą w rodzinnym Sztumie. Początkowo działalność Koła koncentrowała się na prelekcjach wygłaszanych w szkołach, klubach i na letnich koloniach.

Przełomowym momentem w działalności grupy okazała się emisja popularnego w tamtych czasach programu telewizyjnego dla dzieci „Teleranek” z udziałem członków i przyjaciół Stowarzyszenia. Jako dzieci byliśmy niezmiernie dumni z faktu, iż nasza „indiańska rodzina” mogła zaprezentować się przed kamerami w ulubionej audycji. Ważniejszy był jednak szeroki odzew publiczności inspirowany członków Stowarzyszenia Żółwi do utworzenia korespondencyjnego koła zainteresowań kulturą Indian. W archiwum Stowarzyszenia przechowywane są dziesiątki listów od młodych ludzi zafascynowanych tą tematyką. W 1986 r. najaktywniejsi z nich zaproszeni zostali na obóz szkoleniowo-wypoczynkowy, organizowany na terenie leśnictwa Wilki, niedaleko Sztumu. Z biegiem lat Stowarzyszenie Żółwi rozszerzyło swoją aktywność wydawniczą. Tata doczekał się licznych wystaw swojej kolekcji indiańskiego rzemiosła. Pod egidą Stowarzyszenia powstał także jeden z pierwszych w Polsce zespołów prezentujących tradycyjne tańce z różnych regionów Ameryki Północnej. Ojciec zawsze przejawiał konsekwencję w pogłębianiu i popularyzowaniu swoich zainteresowań. Jego niepodważalna charyzma sprawiła, że dzisiaj mówi się o nim jako o jednej z najważniejszych postaci dla powstania Polskiego Ruchu Przyjaciół

Indian. Ogólnopolskie zloty tata odwiedzał dość nieregularnie. Najbardziej lubił te jubileuszowe. Kontakty z ludźmi ruchu pielęgnował we własnym zakresie. Nie wdawał się też w drobne spory „plemienne”. I choć nie krył swoich opinii na ten temat, skupiał się na tym, co pochłaniało go najbardziej. Ojciec ciągle coś pisał. Wieczorami, między kolejnym papierosem i mruczącym telewizorem, powstawały jego najlepsze książki i publikacje. Kiedy nie pisał, wyszywał nowe mokasyny.

W ostatnich latach znowu częściej można było spotkać ojca na ogólnopolskich zlotach. Doceniony jako nestor, chętnie brał udział w tanecznym otwarciu spotkania, wygłaszał prelekcje na temat indiańskiej duchowości i spotykał się ze starymi przyjaciółmi. Czasami roztawiał małe stoisko ze swoimi książkami i rękodziełem. Mówi się, że nigdy nie odmawiał porady nowicuszom, którzy pukali do jego tipi. Czasem ojciec mawiał z przekąsem, że stał się dla ruchu „wyrodnym ojcem”, takim który spłodził dziecko, a potem pozostawił je samemu sobie. Myślę, że sporo w tym było kokieterii, on miał po prostu swoją drogę.

Można powiedzieć, że przez całe życie ojciec praktykował tzw. indiańską Ścieżkę Mocy, często wspominając nauczycieli, którymi byli szamani i uzdrowiacze m.in. z plemienia Czirokezów, Czarnych Stóp, Odżibuejów, Irokezów, Lakotów, Wampanoagów i Huicholi. Jednak szczególnie wpływ na niego miały nauki pobierane u szamana i wizjonera z plemienia Odżibuejów – Sun Beara. W 1991 r. Elke i Leszek Michalikowie zostali autoryzowanymi nauczycielami Ścieżki Mocy w tradycji Bear Tribe. Równoległe przez 10 lat ukazywał się wydawany przez Stowarzyszenie magazyn „Kayas Ochi”, poświęcony przede wszystkim duchowości i sztuce materialnej rdzennych mieszkańców obu Ameryk.

Innym ważnym przedsięwzięciem, któremu tata poświęcił ostatnie kilkanaście lat, było prowadzenie indiańskiej wioski w nadmorskim Jantarze. Co roku setki osób odwiedzało muzeum z unikalną kolekcją rękodzieła Indian z różnych regionów Ameryki Północnej. Do tego okrasa z gawędy, którą tylko on umiał snuć tak swobodnie i zajmująco! W 2003 r., podczas jednej ze swoich podróży za ocean, ojciec został przyjęty do plemienia Kri Równin (Plains Cree) z rezerwatu Frog Lake w kanadyjskiej Albercie. Ta indiańska „adopcja” nie była wyłącznie symbolicznym gestem, do dzisiaj mamy serdeczny kontakt z tą rodziną.

Od początku działalności ojciec cieszył się sporym szacunkiem w kręgach naukowych, choć sam tytułów uniwersyteckich nie posiadał. Wzajemna wymiana owocowała obszerną korespondencją, licznymi publikacjami i udziałem w konferencjach. W naturalny sposób najwięcej łączyło go z etnografią. Przez kilka lat kierował polską filią Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Etnograficznego im. Bronisława Malinowskiego (PAES/PATE).

Wciąż spotykam ludzi wspominającego tatę ze szczególną estymą. Wybaczając mu nonszalancję i jadowite poczucie humoru, dzielą się cennymi wspomnieniami. I my z bratem poszliśmy swoją drogą, zabierając w plecaku najcenniejsze nauki dzieciństwa. Piotr został adiunktem w Katedrze Porównawczych Studiów Cywilizacji na Uniwersytecie Jagiellońskim i od lat prowadzi badania terenowe dotyczące wierzeń i rytuałów w Meksyku i Gwatemali oraz na Kubie. Mnie wewzwała natura i dzisiaj na ziemi rodziców w Uśnicach prowadzę „dziką szkołę”, opartą na wielopoziomowym doświadczaniu przyrody. Tubylcze ludy Ameryki Północnej są dla mnie nieustającą inspiracją w pojmowaniu naszego ludzkiego miejsca na Ziemi.

(Fragment postłowa z książki L. Michalika „Odżibuejowie. Czaro-dzieje lasu”, TIPI, Wielichowo 2022)

Alina Michalik

PRPI: między fascynacją a niewygodną prawdą

To będzie tekst osobisty

Spełniam dwa warunki przynależności do szacownej grupy „starcy, kobiety i dzieci”, której zwykle sporo się wybaczają. Liczę więc na taryfę ulgową, bo ten tekst o PRPI nie będzie chłodnym bilansem. Będzie osobisty. Próbowałam ułatwić sobie zadanie i poprosiłam o pomoc sztuczną inteligencję. Ta zasugerowała, że PRPI może oznaczać Program Pierwszy Polskiego Radia, więc szybko wróciłam do własnej, równie omylnej, ale jednak bardziej przydatnej pamięci. Trudno pisać o czymś, co zajęło 78% mojego życia — z przerwami, ale na serio.

Jak to się zaczęło

W środowisku szybko zrozumiałam, że obecność na zerowym, pierwszym czy drugim Zlocie działa jak order lub nadaje tytuł Człowieka-Legendy. Mnie ten zaszczyt ominął — dotarłam dopiero na piąty, w 1981 roku, pod wsią Oś na Opolszczyźnie. Trafiłam tam dzięki „Światu Młodych”: napisałam, dostałam mapkę, przyjechałam. Był to czas fascynacji NRD-owskimi filmami o Winnetou i właśnie wtedy zasiano we mnie zainteresowanie Indianami, choć z perspektywy czasu brzmi to niepoważnie. Dodam, że z tych filmów dowiedziałam się, że Indianie słabo mówili po niemiecku.

Stereotyp wchodzi pierwszy

Co na tamtym Zlocie było „indiańskiego”? Było tipi kolegi, w którym mieszkaliśmy. Z koleżanką zorganizowałyśmy kiedyś od gospodarza ziemniaki i ogórki ze wsi (żał mu nas było, „biedna młodzież, w takich warunkach żyje”), pieszo 5 km w jedną stronę. Ugotowałyśmy na ogniu, zrobiłyśmy prostą sałatkę. Nie upilnowałyśmy, wszystko zjadł kolega. I według niego to było „po indiańsku”: kobieta powinna być istotą, która obsługuje wojownika. Taki swoisty rodzaj „rekonstrukcji historycznej” i bardzo bolesne zderzenie ze stereotypem, a właściwie całkowitym pomyleniem pojęć prezentowanym przez początkującego indianistę, pierwsze i niestety nie ostatnie przez te 50 lat. W Osi, obok złotowej łąki był niepozorny, chłodny strumień. Kąpaliśmy się w nim wszyscy. Pamiętam cudowny chłód jego wody od 45 lat, do dziś.

Między legendą a wyobrażeniem

Gdy mowa o tamtych czasach, nasz zachwyt, a potem osobistą przyjaźń wygenerował Sat Okh, który opowiadał o Indianach w programie telewizyjnym „Teleranek”. Inni pewno potwierdzą moje zeznania. Spotkałam go osobiście podczas zlotu na Papierni chyba w 1986 roku – mieszkał w przyczepie kempingowej, miał całe wyposażenie domu i kuchni, a także – o zgrozo – telewizor turystyczny, w którym oglądał – jeszcze bardziej o zgrozo – serial brazylijski o niewolnicy Izaurze. Wielu było zniesmaczonych. Indianin i takie rzeczy? A gdzie spanie w tipi, gotowanie na ogniu, toaleta w krzakach? No, a jeśli filmy, to przecież nie takie! Stereotyp trzymał się mocno. Pracowałam wtedy w jednej z gazet poznańskich, napisałam notatkę o tym Zlocie i o Sat Okhu, załączając przy tym zdjęcia półnagich kolegów w przepaskach biodrowych (bez pytania o zgodę, prawda). W ramach prehistorycznego wówczas poczucia RODO, jeden z kolegów obraził się i nie odzywał do mnie parę lat. Ale inny w ten sposób dowiedział się o PRPI i dziś jest jego słynnym działaczem, więc summa summarum opłaciło się.

Gdy zlot był wspólnotą

Pierwsze zloty były i musiały być inne. Pomijam to, że trwały tylko weekend. Było nas mało, byliśmy w tym samym wieku, mieliśmy te same problemy. Ze szkołą, rodzicami, życiem. Zналиśmy się też prawie wszyscy po imieniu. „Misiaczkowaliśmy” się też z przyjemnością. Nie było istotne skąd jesteś, co robisz. Ważne, że jesteś

swój. Sądzę, że bardzo wiele osób przyjeżdżało właśnie po to – po akceptację. Indianie byli tylko dopełnieniem. Brak akceptacji mojej sfery zainteresowań towarzyszył mi przez całe życie: Tata mówił „ona jest jeszcze na etapie Indian” (gdym miała pod 30-tkę), w pracy widywałam głupie uśmiešky, ostatnio w Kole Gospodyń Wiejskich dokonałam „coming out-u”, że mam takie hobby i zapadła ciężka cisza. To dowód na to, że stereotyp ma się świetnie – zabawa w Indian to sprawa dla dzieci. To bolesny wniosek. Tak, tak, wiem – nie przejmować się i robić swoje. Bo np. Czarne Stopy mówią, że robimy świetną robotę edukacyjną, przybliżamy kulturę Indian np. przez polskie pow-wow, wioski edukacyjne (i tylko takie), prezentacje, wystawy, biegi.

Trudne pytania o cudzą kulturę

Niejako przełomowe w moim pojmowaniu przynależności do PRPI i uczestnictwa w pow wow było inne spotkanie – w Bygdoszczy, w roku 2007, z Klee Benally z narodu Dine (Nawahów), lidera niegdysiejszego zespołu Blackfire. Gadaliśmy całą noc, do piątej nad ranem. Powtarzał „there is no taking without giving” („nie ma brania bez dawania”). Mówił: „zabieracie naszą kulturę nie dając nic w zamian od siebie, robicie to co robi kolonializm i robicie to dla własnej przyjemności. Żle interesujecie się Indianami.” Uczył mnie co to jest zawłaszczanie kulturowe z jego perspektywy. Próbowałam mu uświadomić, że nasze zainteresowania, bycie ze sobą jest źródłem niezliczonych przyjaźni, miłości, sympatii i przez to robimy świat lepszym, ludzie stają się lepszymi, a Indianie dali temu początek. Wzlatywałam na wyżyny wzniosłej argumentacji, niechby zrozumiał, że Indianie dają światu miłość i radość, nawet niechcący. Spojrzał i rzekł: „there is no taking without giving. My z tego nic nie mamy, to naszego życia nie zmieni”.

Nawiasem mówiąc, to samo hasło przepełnia książki (pol. „Pieśń ziemi”, „Dary ziemi. Czego przyroda uczy nas o wzajemności”) i wystąpienia niezwykle popularnej ostatnio biologki i edukatorki Robin Wall Kimmerer w jej nauce dotyczącej ekologii i środowiska, opartej na wiedzy narodu Potawatomi, z którego pochodzi. Generalnie z moich innych spotkań z radykalnymi Indianami, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, wynika jedna deklaracja i rada dla nas: „nie potrzebujemy żadnych białych przyjaciół, odczepcie się”. Usłyszałam też, że „w bitwie nad Little Bighorn walczyło dwóch Polaków, więc nie mamy o czym rozmawiać”. Albo (to z poezji tubylczej autorki) „Chcesz nosić koraliki i być Indianką? Weź jeszcze sobie mojego męża co pije i bije, weź moją cukrzycę, brak pracy, biedę, weź mój los”. Współczesnym ludom tubylczym nie jest potrzebny taki ruch jak PRPI. Nam jest potrzebny. Również po to, żeby się Indian uczyć. Można przyjąć akceptację Czarnych Stóp, dla tego co robimy, lub przejąć się krytycznym spojrzeniem innych amerykańskich tubylców. Mamy wybór.

Kiedy zlot przestaje być „mój”

Skoro doszłam w moim wywodzie do bolesnych wniosków różnego rodzaju, mam jeszcze jeden dotyczący zlotów w ich obecnym kształcie. To impreza masowa, wielopokoleniowa, ze spotkaniami w podgrupach, z kręgami znajomych (sobie) ludzi, z dużym odsetkiem uczestników przypadkowych, taki kemping tematyczny. Ludzi przyciąga wiele rzeczy i są różni, i dobrze, wszak bioróżnorodność jest cenna. Ale nie mogę pogodzić się z tym, że mijamy się patrząc w ziemię, bez jednego głupiego „cześć”, bez uśmiechu, obojętnie, beznamieennie, obco. Po prostu nie cierpię tego. Wtedy czuję, że to nie jest już mój zlot. Takie chwile odbierają mi moją złotową radość. I nie chce mi się samej uśmiechać, zagajać, mówić głupiego „cześć”. Próbowałam – nie działa.

Co stanie się z PRPI

Jakie będą przyszłe zloty, zapyta ktoś. Ze względu na starzenie się naszej populacji, a co za tym idzie degenerację kości i stawów, problemy kardiologiczne, gastryczne i wszystkie inne zloty będą odbywać się w bliskiej odległości od pensjonatów i agroturystyk. Już teraz widzę zainteresowanie takimi miejscówkami. A poważniej – od wykładowcy akademickiego usłyszałam 10 lat temu, że 10 lat temu (czyli łącznie 20) studenci etnologii jeszcze coś wiedzieli o Indianach, coś im świtało, obito o uszy. Trudno to nazwać wiedzą. Więc idąc tym tropem wątpię, żeby w przyszłości ludzie przyjeżdżali na zloty po autentyczną wiedzę o amerykańskich ludach rdzennych. Jakkolwiek brutalnie to brzmi – Indianie nie są popularni. Historia pójdzie w odstawkę. Wielkie bitwy, wodzowie, kwestia szkół z internatem, AIM, itp. będą passe. Ale biorąc pod uwagę rosnącą miłość do natury, w różnych wymiarach, i powrót do duchowości jako panaceum na troski wynikające z życia w trudnym, chaotycznym, rozchwianym świecie sądzę, że te sfery będą w Ruchu rozkwitać. Może nawet zaistnieje u nas Native American Church w wersji Polish, w podziemiu. Nie zaginie fonetyczne śpiewanie pieśni przy ognisku i rękodzieło, szczególnie wyrób biżuterii. Może fascynacja pow wow będzie maleć, może odżyje po dłuższej przerwie. Będą specjaliści od czegoś, pojedynczy i nieliczni. I to jest zawsze super. Ruch przetrwa, również dzięki dzieciom i wnukom naszej starszyny, której udało się je wychować w miłości do Indian, zlotów, bycia w naturze. Choć może kiedyś „indianiści” zdecydują się zmienić nazwę PRPI na przykład na Ruch Ludzi Natury (zapropionowaną kiedyś na Zlocie w Osi, od którego zaczęłam), która będzie wówczas bardziej adekwatna do tego, co będą robić. Czyli nie będą już de facto indianistami.

Życie prywatne też płaci cenę

Kiedyś wyszłam za mąż za faceta spoza „branży”, który pewnego roku wypalił: „Albo zlot, albo ja”. Wybrałam to drugie. Spowodowało to 10-letnią wyrwę w moim uczestnictwie w życiu PRPI. Ominęło mnie wiele fantastycznych spotkań, znajomości, imprez, zlotów. I skończyło się rozwodem. Taki między innymi wpływ miał PRPI na moje prywatne życie. Bez zlotów i przyjaciół-indianistów nie da się

żyć. Wróciłam, z obawami, na zlot w Uniejowie w roku 2003. Rozpoznała mnie i przygarnęła koleżanka Mira, a potem inni starzy znajomi. Płakałam 3 dni ze wzruszenia. I związałam się na następne ponad 20 lat z facetem „z branży”. Trzeba wybierać w zgodzie ze sobą, inaczej nie idzie się „Ścieżką piękną”.

Od zachwyty do świadomości

Gdy cieszyłam się chłodem potoku, indianistyczną przyjaźnią, pieśnią, księżycem w pełni nad złotowym lasem, zimną letnią nocą przy ognisku – nie marzyłam o dalekim świecie za Wielką Wodą, to mi wystarczało. Gdy zaczęłam spoglądać szerzej, czytać głębiej, zderzać się z indiańską rzeczywistością w filmie, literaturze, spotykać się z prawdą o ich współczesnych problemach, a także z nimi samymi, poczułam, że jestem gotowa pojechać na Wyspę Żółtą. Najpierw do USA, a potem do Kanady. Przywiozłam stamtąd refleksje od A do Z: potwierdzenie, ale i korektę moich wyobrażeń o życiu ludzi tubylczych, zaskoczenie własną naiwnością w paru kwestiach, zachwyt nieopisywalnym pięknem natury, doświadczenia odrzucenia mnie jako „wścibskiego białasa”, ale i przyjaznej gościnności i akceptacji. Krytyka może być bolesna i konstruktywna. Nie ma jednej prawdy o stosunku Indian do nas i naszych pasji, jak już wyżej wspomniałam. Jednakże tzw. „prawdziwego Indianina” na zlot bałabym się zaprosić. 50 lat PRPI przeprowadziło mnie od fascynacji indiańską przygodą, poprzez niezliczone przyjaźnie – te nietrwałe i trwające lat 50, konflikty i niezrozumienie w rodzinie i w pracy, zaangażowanie w pow wow, zloty, konferencje (mądrzejsze i mniej mądre), setki spotkań z indianistami i nieliczne z Indianami w Polsce, a potem dojrzałe i pełniejsze rozumienie czym i kim ja się właściwie interesuję, zakończone pobytami w Ameryce i pasją dla czytania prac autorów rdzennych.

Dziękuję wszelkim Siłom znanym mi i nieznanym, i ludziom z PRPI, którzy mnie najpierw zaakceptowali, a potem uformowali, pokierowali, nauczyli – dla dobra mojego własnego, świata, w którym żyję i, mam nadzieję, że może dla Indian.

Ewa Stańska

Z dala od szosy w Polsce i USA

Mój pierwszy zlot, to był 1980 rok. Pamiętam, że było tylko jedno białe tipi. To było coś nowego – ludzie i geografia. Spotkanie z dala od autostrady. Ten zlot i to lato wiązały się... z utratą pracy! Czy szeryf mnie przyjmie? Zaryzykowałam.

Odtąd przez kilka lat byłem na każdym zlocie. Na Papierni (w 1986 roku koło Chodzieży), graliśmy – Źródło i ja – na bębnie i wyładowaliśmy na okładce „Tawacinu”! A na moim pierwszym Zlocie przez przypadek zapalił mi się namiot! W Sopocie zupełnie przypadkowo, przez naszyjnik, dowiedziałem się o człowieku piętro niżej, o którym sąsiedzi mówili, że on „chory” na punkcie Indian. Patrząc, a on – może 15 lat, niskiego wzrostu – nazwałem go „Mały”. Nie znałem jego imienia i tak pozostało, a on nie protestował.

I jak to możliwe, że w 1990 roku tylko ja jeden byłem na Biegu w Europie? A Bieg był przez Polskę!

Jak zostaje się indianistą? O początkach moich fascynacji.

„Magnetic force” to wiedza, atmosfera, oraz różne lokalizacje spotkań – zlotów. Tak, pamiętam pierwszy mój Zlot nad jeziorem Strzeleckim w Chodzieży. Garstka ludzi, może ze 100 osób? To dzięki Biegowi w Europie w 1990 r. miało miejsce moje spotkanie z Indianami. Szok, gdy dołączałem na granicy belgijskiej – widzieć ich i słyszeć w grupie różnych narodów! Czy bez PRPI byłbym innym człowiekiem? Trudno odpowiedzieć.

Czym właściwie jest dziś PRPI? (sens i tożsamość Ruchu). Czy bycie indianistą i przyjacielem Indian oznacza to samo? Według mnie, to my sami kierujemy rzeką wydarzeń, to rzeka życia. Trzeba być przyjacielem dla Indianina, być indianistą to za mało! Rozmowa z Medicine Woman nauczyła mnie wiele, ale skończyła się też nowymi pytaniami. To rewolucja mózgowia! Taki był Rezerwat w okolicy Glacier Park, w Montanie.

Jak mówić o Indianach w XXI wieku?

Czy na zlotach i w środowisku pojawiają się problemy związane z zawłaszczaniem kulturowym? Zawłaszczanie kulturowe? To nie problem!

Co daje PRPI ludziom? Najpiękniejsze doświadczenia. Święty Bieg nie jest za darmo. Paliwo, noclegi, posiłki – te wydatki trzeba pokryć. Ja, jak król, nic nie płaciłem na Świętym Biegu. Moje doświadczenia były za darmo!

Czy współczesnym ludziom tubylczym potrzebny jest PRPI? Czy PRPI powinien aktywniej zabierać głos w sprawach współczesnych rdzennych narodów? Yes. Duch poparcia. Wysłana energia. Tak, Ruch powinien aktywniej zabierać głos w sprawach współczesnych rdzennych narodów.

Jacek Piwowski

Ostrożniej manifestuję swoje fascynacje

Indianami zainteresowałam się mając około 4 lat, dzięki wielu filmom w początkującej u nas telewizji. Nie mogłam się doczekać kiedy pójdę do szkoły, żeby nauczyć się czytać i sprawdzić na mapie, gdzie żyją Indianie. Jakież po kilku latach było moje zdziwienie, że w Indiach są całkiem inni ludzie, kultura i ideały. Odkrycie Ameryki na innych stronach szkolnego atlasu było tak fascynujące, że do zostałam nauczycielką geografii. W czasach szkoły podstawowej przeczytałam wiele książek o obu Amerykach, unikając beletrystyki, nawet jeśli autorem był Karol May, czy uwielbiany przeze mnie Arkady Fiedler. Do dziś pamiętam, jak w roku 1973 wbiegłam do klasy z gazetą, by radośnie obwieścić, że Indianie zaczęli rewolucję, ale wszystkie koleżanki i koledzy z szóstej klasy patrzyli na mnie zdziwieni, jakby pytali "Noaleosochozi?" Teraz już ostrożniej manifestuję swe fascynacje. Zawsze interesowała mnie przyroda – na podwórku pod naszym blokiem pilnowałam, by nawet podczas zabawy w Indian nie biegano po trawniku, nie męczono pajaków, czy nie łamano gałęzi, a w liceum chodziłam do klasy biologiczno-chemicznej.

Później przechodziłam fazę turystyczną, hipisowską, filozofii i sztuk walk Wschodu, kuratorki dla nieletnich, Partii Zielonych, animatorki na obozach głębokiej ekologii, radnej miejskiej, aż trafiłam w ekologicznym zine „Zielone Brygady” na informację o spotkaniu PRPI. Od tej pory intensywnie wyjeżdżałam na zloty, festyny, akcje (np. „Kolumb ty draniu” w Warszawie w październiku 1992 roku), wspierałam spotkania indianistów z Olsztyna i wraz z malarzem Tadeuszem Piotrowskim wzięłam udział w nagraniu godzinnej audycji w lokalnym radiu z okazji 500-lecia wyprawy Kolumba. Nie da się zapomnieć zlotu koło miejscowości Korne, gdy dostaliśmy pozwolenie na palenie ognia mimo suszy i nocą tańczyliśmy przy dźwiękach wielkiego bębna i śpiewie kilku dziewczyn. Tłum ramię w ramię rytmicznie poruszał się wokół ogniska. Nie było wtedy powwow, ani piór przy regaliach, nie było dystansu, jaki teraz stwarzają, byliśmy jednym wielkim, tańczącym w ciemności organizmem... W moim mieście zorganizowałam klub miłośników Indian, a potem spotykałam na zlotach moich uczniów ze szkoły. Niestety, mój mąż nie podzielał tych zainteresowań, więc przestałam jeździć na zloty i zostałam „businesswoman”. Po kilku długich latach przerwy, już sama, ze zdwojonym entuzjazmem działałam na rzecz już „Rdzennych Amerykanów”.

Byłam uczestniczką, a potem inicjatorką, spotkań indianistów warszawskich. Zapraszano nas na lokalne festyny. Gdy w Warszawie

odbyło się spotkanie w ramach międzynarodowego cyklu Kręgu Indiankich Babć, wraz z Małgorzatą „Cichą Wodą” przez rok uczestniczyłyśmy w zajęciach dla kobiet z Polski. Specjalnie dla nas – dwóch indianistek - zorganizowano ceremonię przeprowadzoną przez dwie rdzenne kobiety z południa Stanów Zjednoczonych, które dały nam uprawnienie do prowadzenia warsztatów, kręgów kobiet i innych działań propagujących wiedzę o pierwszej ludności Ameryki. Potem wielokrotnie prowadziłam kręgi kobiet wśród indianistek, zwłaszcza po zakończeniu wiosennego lub jesiennego powwow. Przez kilka lat próbowano też reaktywować formalną stronę naszego Ruchu, czyli Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian, ale skoro długo się to nie udawało, to ja skrzyknęłam dawnych i potencjalnych członków, poznałam nowe procedury i Stowarzyszenie znów zadziało. PSPI stało się ważnym, ciekawym i potrzebnym formalnym ramieniem działań indianistycznych. Istnienie Stowarzyszenia otwierało drogę zainteresowanym osobom i instytucjom do kontaktu z prawie całym Ruchem. W czasach słabego jeszcze wtedy internetu PSPI było indianistycznym oknem na świat. Za pośrednictwem PSPI rekonstruktorzy z grupy Monongahela po raz pierwszy wystąpili w ogólnopolskiej telewizji, inne grupy indianistów nawiązywały kontakt ze szkołami i różnymi instytucjami, w których mogli propagować wiedzę o rdzennych Amerykanach. Przy dużym wsparciu merytorycznym PSPI została wydana piękna książeczka dla dzieci „Pawel i Indianie”.

Moje zaangażowanie w działalność PSPI wynikało z celów Stowarzyszenia – odwracanie stereotypów, przekazywanie rzetelnej wiedzy o Pierwszych Amerykanach. Aby to robić z dbałością o Naturę, moje stroje (niekoniecznie jako regalia) są z naturalnych surowców. Na moje warsztaty rękodzieła przynoszę własne, naturalne materiały – skórę, pióra, koraliki i sznurki, a ścięgnę z samej Ameryki. Często daję dzieciom dotknąć indiańskich przedmiotów, czy stroju, pokazuję rzemieślnicze szwy na sukni – jest to dla nich czasem pierwszy kontakt z czymś tak dokładnie pozbawionym plastiku. Lubię tańczyć i nie muszę z tego powodu brać udziału w konkursach, ale często pokazuję tańce, bębnię lub śpiewam podczas festynów lub zlotach grup rekonstrukcyjnych. Zakładam skórzaną suknię ludów prerii, bo to bardziej zachęca uczestników do wysłuchania moich opowieści. Niedługo już będę za słaba, by robić to wszystko, ale mam nadzieję, że opowieści prawdziwe, albo te pouczające, będzie mi dane kontynuować jeszcze długo.

Jolanta „Czapla” Pawlak



Patrzemy w tym samym kierunku

Początek. W moim przypadku nie było jednego wyrazistego momentu, który zapoczątkował zainteresowanie kulturą indiańską. Był to proces rozwijający się stopniowo. Odkąd pamiętam, oglądając filmy o Indianach czy sięgając po książki o tej tematyce, odczuwałam wobec nich sympatię, ciekawość i podziw. Gdybym miała opisać to jednym zdaniem, powiedziałabym, że „w poprzednim wcieleniu chyba żyłam wśród Indian.” Wcześniej dostęp do informacji był znacznie bardziej ograniczony niż dziś. Internet dopiero podbijał nasze domy, dlatego starałam się zdobywać wiedzę wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Początkowo niełatwo było oddzielić fakty od utrwalonych stereotypów, jednak z biegiem czasu moja wiedza stawała się coraz bardziej uporządkowana. Brakowało mi jednak ludzi, z którymi mogłabym dzielić pasję, wymieniać doświadczenia i o tym rozmawiać. Myślę, że przełom nastąpił wraz z rozwojem internetu. Poszukując informacji trażałam na fora internetowe takie jak Indianie.info czy Indianie.eco. Z radością odkryłam, że w Polsce istnieje wiele osób które – podobnie jak ja – fascynują się kulturą indiańską. Z czasem wiele znajomości przeniosło się na Facebooka, a internetowe rozmowy zaowocowały spotkaniami. Od tego momentu wszystko zaczęło rozwijać się już swoim naturalnym rytmem.

Pierwsze spotkanie. Moim pierwszym spotkaniem z indianistyczną społecznością był koncert Joanny Shenandoah w Bydgoszczy w 2012 roku. Wybrałam się tam z Krzysztofem Mączkowskim i jego żoną Marią oraz Markiem Maciołkiem. Było to niezwykle doświadczenie, które do dziś wspominam z ogromnym sentymentem. Oprócz pięknej muzyki wielkie wrażenie zrobiła na mnie serdeczność, otwartość i życzliwość ludzi. Tamtejsze spotkanie stało się początkiem wielu kolejnych doświadczeń oraz znajomości.

PRPI. Myślę, że jednym z największych atutów tej społeczności jest jednoczenie wokół wspólnej pasji i zainteresowań. Dzięki indianistom wiele osób zaczyna patrzeć na rdzennych mieszkańców Ameryki inaczej. Działalność PRPI przyczynia się do budowania pozytywnego i wiarygodnego wizerunku Indian. Dzięki zaangażowaniu wielu pasjonatów stopniowo odchodzi się od utrwalonych przez kulturę masową stereotypów przedstawiających Indian jako wojowników w pióropuszech. Powoli zastępuje je prawdziwy obraz ludzi posiadających bogatą kulturę, talenty, własny język, tradycje oraz trudną i bolesną historię. Uważam, że na przestrzeni lat działalność środowiska indianistów wyraźnie się rozwinęła. Oprócz spotkań w swoim kręgu ludzie z PRPI coraz częściej organizują wydarzenia skierowane do szerszego grona odbiorców – ta-

kie jak Bieg Na Rzecz Ziemi, festiwale Made in Native America, spotkania czytelnicze czy konferencje naukowe. Dzięki nim można spojrzeć na rdzennych mieszkańców Ameryki z innej perspektywy – nie przez pryzmat legend i westernów, lecz jako na współczesnych ludzi, którzy żyją, tworzą i mierzą się z wyzwaniami podobnymi do naszych.

Emocje i szacunek. Być może dla części odbiorców będzie to oznaczać utratę romantycznego obrazu wojownika z powieści i filmów. Jestem jednak przekonana, że prawda jest cenniejsza. W moim odczuciu przez lata środowisko indianistów wykonało duży postęp, dzięki któremu wiedza o kulturach tubylczych stała się bardziej rzetelna i dostępna dla powszechnego odbiorcy. Jednak jak każda większa społeczność, również ta nie jest jednak pozbawiona wad. Zdarza się, że pojawia się w nas zbyt duża pewność siebie, brak pokory czy przenoszenie osobistych i światopoglądowych sporów na wspólną przestrzeń. Czasami zbyt surowo oceniamy osoby, które dopiero rozpoczynają swoją indiańską ścieżkę, oczekując od nich wiedzy, której nie miały jeszcze szansy zdobyć. Bywa również, że emocje biorą górę nad rzeczową dyskusją. Dlatego uważam, że warto pamiętać o cierpliwości, wzajemnym szacunku i otwartości. W końcu wszystkich nas łączyła ta sama pasja i to ona powinna pozostać najważniejsza.

Poznałam wartościowych ludzi. Oceniając własny przypadek myślę, że pasja do kultury indiańskiej wniosła do mojego życia wiele dobrego. Dzięki niej poznałam wielu wartościowych ludzi, a na co dzień towarzyszą mi książki, filmy i muzyka tworzona przez rdzennych artystów. Muzyka jest doskonałym przykładem tego, jak można łączyć ze sobą tradycję i współczesność. To już nie tylko dźwięk fletu i pieśni ceremonialnych, ale także rock, punk, metal czy rap. Szczególnie bliski jest mi zespół Blackfire z plemienia Navahów, którego twórczość pokazuje, że współczesna kultura rdzennych mieszkańców jest żywa, dynamiczna i otwarta na nowe formy wyrazu. Ich utwory udowadniają, że zamiast walczyć bronią, można przemawiać muzyką, słowem i sztuką, jednocześnie pozostając wiernym swym korzeniom. Są bardzo rodzinnymi ludźmi dbającymi o tradycję i wspólne dobro. Podsumowując – przynależność do PRPI ma dla mnie szczególne znaczenie, bo dobrze jest mieć wokół siebie ludzi, z którymi można dzielić się przemyśleniami, doświadczeniami i wiedzą. Niezależnie od życiowych zawirowań i obowiązków wiem, że istnieje społeczność patrząca w tym samym kierunku, a jej przyszłość zależy wyłącznie od naszego wspólnego zaangażowania.

Anna Kaproń

Od książek do Kręgu – spełnione marzenie

Początek mojej fascynacji rdzennymi Amerykanami to bardzo młode lata. W wieku 10 lat dostałam w prezencie 3 tomy „Winnetou”, które w trakcie czytania przeniosły mnie w inny świat, różny od tego, w którym żyłam. Od tego czasu były książki, filmy, niektóre oglądane kilka razy. Zbierałam wszystko, co nawiązywało do mojego wymarzonego świata. Potem było życie, kilkadziesiąt lat z różnymi zainteresowaniami, lecz zawsze byli ONI, na pierwszym miejscu.

Wiedziałam o istnieniu PRPI, ale proza życia nie zostawiała czasu dla mnie i moich pasji. Kiedy udało mi się kupić „Tawacin” i znalazłam kontakty do indianistów, powiedziałam – teraz albo nigdy. I tak w 2003 roku pojechałam do Warszawy na konferencję. To był mój pierwszy kontakt z PRPI. Potem, wiosną Powwow w Toruniu. Byłam z synem, wtedy 13-latką. Kiedy zobaczył Sata, powiedział z przejęciem: – Mamo, ja o tym człowieku uczyłem się w szkole! – i to było piękne. To było moje pierwsze Powwow i chociaż siedziałam na widowni, zobaczyłam swoją „czerwoną ścieżkę”, którą postanowiłam podążać. Uniejów 2003 – mój pierwszy zlot. Zlot, który pozostanie w mojej pamięci. Wtedy pierwszy raz zatańczyłam na arenie. Poznałam wielu in-

dianistów odpowiadających cierpliwie na moje pytania. Dzięki nim nauczyłam się podstaw indiańskiego rękodzieła i dzięki ich wskazówkom uszyłam potem swoje regalia. To był czas, kiedy przekonałam się, jak mało wiem o rdzennych Amerykanach. Po tym zlocie wiedziałam, że nie będę potrafiła żyć bez tego, co zobaczyłam i czego doświadczyłam.

Dla mnie rok 2003 był wyjątkowym czasem. Pierwszy kontakt z PRPI, pierwszy zlot i przede wszystkim – pierwsze w życiu spotkanie z rdzennymi Amerykanami w Biskupinie. Przebywanie w ich towarzystwie, odcisk mojej dłoni na obrazie Leona Rattlera z ludu Czarnych Stóp i wspólny taniec, to było niesamowite doświadczenie ich kultury oraz czysta uczta dla duszy. Dziś wiem, że przynależność do PRPI pogłębiła moją wiedzę o rdzennych Amerykanach, o ich współczesnych problemach. Zrozumiałam, że magia książek i filmów potrafi doprowadzić do punktu, w którym jestem. W PRPI jesteśmy bardzo różni, pochodzimy z różnych środowisk, mamy różne zawody, ale łączy nas fascynacja rdzennymi Amerykanami. I niech tak już pozostanie, na zawsze.

Małgorzata Kalinowska

Miałem szczęście

22 lipca br. mija 50 lat od pamiętnych odwiedzin, jakie złożyli mi Marek Kabat i Witek Nalepa z Chodzieży. Ten dzień uważam za swój początek w Polskim Ruchu Przyjaciół Indian (choć wtedy jeszcze nie było tej nazwy). Marek i Witek byli pierwszymi indianistami, których poznałem osobiście; osobiście, bo nieco wcześniej nawiązałem korespondencję z Romkiem Bałą z Iwanowic Dużych. A potem już samo się potoczyło: Piotr Nowakowski z Poznania powiedział mi o Niedźwiedziu, czyli Wiesławie Karnabalu z Dąbrowy, „wodzu” poznańskiej grupy indianistów. Jadąc na III (a mój pierwszy) zlot w Chodzieży, w zejściu do tunelu Dworca Głównego w Poznaniu zaczęliśmy Mirka Bogusza (miał wisiorok z koralików), a chwilę później poznałem Marka Hyjka, obaj z Białogostoku. Na IV zlocie siedziałem w tipi i przepisywałem ręcznie serwis informacyjny, przygotowany na podstawie „Akwesasne Notes” przez Marka Nowocienia z Ząbkowic Śląskich...

Mógłbym wymieniać jeszcze długo, ale poprzestanę na przywołaniu osób, z którymi zetknął mnie los na samym początku mojej indianistycznej drogi. Miałem szczęście, bo nadal się przyjaźnimy, nadal potrafimy ze sobą rozmawiać i współpracować, choć nie widujemy się przesadnie często. Miałem szczęście, że trafiłem do Ruchu, bo wszystkie osoby, które poznałem, zaważyły na całym moim późniejszym życiu; bo wszystkie ideały, w które wierzyliśmy, ukształtowały moją osobowość.

Połączyło nas zainteresowanie Indianami, choć każdy rozumiał je i realizował nieco inaczej. Z jednej strony „Indianie” (zastosowałem cudzość, bo wtedy hasło to było wytworem literackim, mającym mało wspólnego z tubylcami żyjącymi w Ameryce) byli uzupełnieniem braku w ofercie naszej własnej kultury, z którą nie potrafiliśmy lub nie chcieliśmy się identyfikować, bo nie odpowiadała ona w pełni naszym aspiracjom. Z drugiej strony powstała przestrzeń, na wzór inkluzywnych (niewykluczających) kultur indiańskich, w której każdy z nas miał swoje miejsce, znajdował akceptację i zrozumienie, zachętę do samorozwoju.

Zawsze ciągnęło mnie do literatury, filozofii, do świata idei. Zetknięcie się z twórczością autorów pochodzenia indiańskiego, zwłaszcza z poezją, uświadomiło mi, że za każdym słowem kryje się wielka przestrzeń ludzkiego doświadczenia. Jednak na poziomie podstawowym zrozumienie indiańskiej poezji jest praktycznie niemożliwe, choćby z powodu nakładania się języków podczas przekładu. Trzeba sięgnąć znacznie głębiej. Kiedyś wyraziłem się, że wszyscy jesteśmy tubylcami i chyba miałem na myśli to, że jesteśmy ludźmi, którzy noszą w sobie pamięć przodków, sięgającą w głąb naprawdę odległych czasów. Niczego nie zapomnieliśmy, jedynie przysypaliśmy warstwą nowych doświadczeń.

Mam na myśli ni mniej, ni więcej jak... zrozumienie swego miejsca w świecie, podejście do ziemi, do środowiska naturalnego. Nie ukrywam, że gdyby nie Indianie, na przykład gdyby nie słowa Białej Antylopy, wodza Szejenów: „Nic nie żyje wiecznie, tylko ziemia i góry” – chyba nie zaprzątałbym sobie tym głowy. Ale stało się. Przytoczę również dwa cytaty ilustrujące dwa filary kultury europejskiej: pierwszy z antyku: „Człowiek jest miarą wszechrzeczy”, przypisywany Protagorasowi z Abdery, drugi biblijny: „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. Jak widać, za tymi słowami kryją się całkowicie różne światy.

Indianie rozumieli, że człowiek jest częścią ziemi, jednym z wielu bytów, na równi z innymi istotami żyjącymi, jak i z materią nieożywioną (na pewno nieożywioną?). Spotkanie z Europejczykami,

wychowanymi w kulturze antycznej i biblijnej, było zderzeniem całkowicie odmiennych systemów filozoficznych, skutkującym niezrozumieniem po obu stronach. Indianom nigdy nie przyszło do głowy, że można „posiadać” ziemię na własność, co Europejczycy, a potem Amerykanie skrzętnie wykorzystali. Ale Indianie nie byli też ekologami w naszym rozumieniu tego słowa (zresztą jego znaczenie zmienia się), jednak nigdy nie byli zagrożeniem dla świata naturalnego. Beztroskie strącanie setek bizonów w przepaść, jako jedna z form polowania, nie mogło doprowadzić do wyginięcia tych zwierząt, obojętnie, jaką miarę moralną przyłożymy dziś do tego procederu.

Nie naśladuję Indian, a przynajmniej tak mi się wydaje. Raczej szukam w sobie, na głębszych pokładach, zrozumienia więzi z innymi ludźmi i z ziemią. W swoim ogrodzie nie mam trawy do częstego przycinania, bo taki trawnik jest przejawem egoizmu, realizacją owej antycznej maksymy, że to niby człowiek decyduje o wszystkim. Za to posiałem łąkę, czyli kwiaty miododajne, aby pszczoły i inne owady miały co jeść. Przestałem wyrwać tzw. zielsko, bo to jest pojęcie umowne, może dla nas to są rośliny bezużyteczne, ale dla owadów – już nie. A może zwyczajnie zapomnieliśmy o ich przydatności, zdając się na suplementy diety. Wszystko, co żyje na ziemi, istnieje w jakimś celu, wszystko jest przydatne, ale nie musi być przydatne wyłącznie dla nas. Gdy widzę, że jakaś roślina wyrosła w niespodziewanym miejscu, zadaję sobie pytanie, czy mi to przeszkadza. I najczęściej stwierdzam, że nie, nie przeszkadza mi, widocznie chce tu rosnąć, a nie tam, gdzie ja bym wołał, równo w rzędku, bo tak byłoby ładniej.

Współczesna tubylcza myśl filozoficzna, w kontekście podejścia do ziemi jako wartości niematerialnej, proponuje termin stewardship, czyli zarządzanie, troszczenie się, sprawowanie opieki, wzięcie odpowiedzialności. Gdy zestawić tę ideę z przytoczonymi wyżej cytataми z dziedzictwa europejskiego, widać wyraźnie, że tubylczy Amerykanie próbują podzielić się swoim rozumieniem życia w harmonii, które dalekie jest od eksploatacji zasobów w imię iluzorycznego wzrostu PKB.

Pisząc ten tekst, uświadamiam sobie, że cały czas skupiam się na tym, jak Ruch wpłynął na moje życie, co dała mi przynależność do tego środowiska, jakim człowiekiem jestem dzisiaj. Czy powinienem być wdzięczny tylko osobom, z którymi dzielę to zainteresowanie, czy także, a może – przede wszystkim ...podmiotowi owych zainteresowań, czyli samym Indianom. Nieustannie próbuje przedrzeć się do mnie myśl, że od Indian dostałem znacznie więcej, aniżeli im dałem.

Mogę tylko przywołać ostatnie ćwierćwiecze XX wieku, gdy indianscy aktywiści szukali wsparcia opinii społecznej dla swoich wysiłków na rzecz samostanowienia i uznania ich praw. Słowa poparcia z Europy, nawet z dalekiej, komunistycznej Polski, musiały mieć dla nich jakieś znaczenie, choćby moralne, że nie są sami, że widzimy ich walkę. Mogą o tym świadczyć podziękowania za nasze petycje ślone do ówczesnych decydentów politycznych w Ameryce.

Dzisiaj sytuacja jest całkowicie odmienna, tak w Polsce, jak i w Ameryce. Działalność Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian prowadzona jest na wielu płaszczyznach, możliwości są praktycznie nieograniczone. Jestem spokojny o przyszłość naszego środowiska. Miałem szczęście.

Marek Maciołek

Moja historia w Ruchu

Indianami zacząłem interesować się w wieku 10-11 lat. Mieszkalem wtedy w małej miejscowości Iwanowice Duże koło Częstochowy. Jak pewnie u większości „starych” członków Ruchu, zaczęło się od filmów: „Winnetou”, „Unkas ostatni Mohikanin”, książek: „Mały Bizon” A. Fiedlera, „Winnetou” i innych książek K. Maya, artykułów w prasie, np. w „Świecie Młodych”. Potem doszły programy z Sat-Okhiem w telewizji. Podziwiałem walkę Indian z europejskimi kolonizatorami, sposób życia, obyczaje. Tworzyłem sobie obraz szlachetnego Indianina i pewnego pięknego dnia powiedziałem sobie, „od dzisiaj interesuję się Indianami” nie zdając sobie sprawy, że ta decyzja wpłynie na całe moje przyszłe życie.

Zacząłem szukać kogoś z kim mógłbym dzielić swoje zainteresowania. Odpowiadając na ogłoszenia w prasie, nawiązałem kontakt z Markiem Maciołkiem (pierwszy list od niego ma datę 14 IX 76 r.) a niewiele później z Markiem Hyjkiem. Spotykamy się do dzisiaj na Złotach i przy innych okazjach. W ten sposób rozpoczęło się moje życie w Ruchu, którego dzisiejsza nazwa jeszcze wtedy nie istniała.

„Zapisałem” się do Grupy Chodzieskiej, ale na I Złot w Chodzieży w 1977 roku nie było mi dane pojechać. Ogromne podziękowania należą się Jackowi Przybylakowi i grupie Chodzieskiej za jego organizację. To wtedy zaczął się tworzyć Ruch. Wziąłem natomiast udział już w II Zlocie w Bieszczadach, w 1978 roku, co było konsekwencją zdarzeń, które zaczęły dziać się po I Zlocie i korespondencji z nieocenionym Witkiem Nalepą (Mokaszim). Przekazano mnie do Grupy Bielsko-Biała/Kęty (Tadek Pirnal). Następnie na krótki czas znalazłem się w Grupie Śląsko-Krakowskiej (Zofia Andrukowicz, Piotr Cebula) a potem już w Grupie Częstochowskiej (Zbyszko Patyk, Mariola Orlikowska), w ramach której pojechałem na II Złot i dwa następne do Chodzieży. I ciągle spotykam znajomych z tamtych Złotów na kolejnych Złotach. Tak spotykamy się przez 50, 40, 30 lat!

Prawdziwa przygoda zaczęła się w 1980 roku, kiedy wyjechałem do Warszawy. Tam poznałem m.in. Darka Wołowskiego, Witka Jacóczyńskiego, Mirka Malarczyka, Agnieszkę Jędrzejuk, Jacka Mazurkiewicza, Magdę Kozłowską, i wiele innych osób, które tworzyły Grupę Warszawską, i której członkiem stałem się na dobrych parę lat. Poznałem tam również Indiańską Babcię – Stefanię Antoniewicz. Jej wpływ na moje życie trudno przecenić. Miała niesamowity urok i dar opowiadania. Korespondowała z Indianami. Otrzymywała stamtąd książki i czasopisma. Bywałem u niej prawie codziennie. Możliwość dotknięcia „Akwesasne Notes” była czymś magicznym. Trwało to przez ok. pół roku dopóki nie poszedłem odbywać służby wojskowej na południu Polski. Mimo odległości i stanu wojennego udało mi się w tym czasie 2 razy odwiedzić Babcię i Grupę Warszawską, być na Zlocie w Sztumie w 1982 roku, brać udział w spotkaniach indianistów na terenie całej Polski a także prowadzić bogatą korespondencję. Po 2 latach wróciłem do Warszawy ale Babcia zdążyła wcześniej (1981r.) odejść do Krainy Wiecznych Łowów.

Początkowy okres warszawski to był czas poznawania ludzi, w jakikolwiek sposób związanych z Indianami (Ewa Nowicka, Wiktor Ostrowski, Rudolf Nocoń, Maria Frankowska, etc) oraz działalności popularyzacyjnej. W klubach, szkołach, domach kultury, na Uniwersytecie Warszawskim organizowaliśmy wystawy, prelekcje, Wieczory Poezji, Muzyki i Myśli Indiańskiej, zbiórki artykułów dla szkół indiańskich, informowanie o sytuacji współczesnej, zbieranie i wysyłanie podpisów pod petycjami. W późniejszym okresie demonstracje pod ambasadami USA, Kanady, Meksyku. Był to okres niezmiernie intensywnych kontaktów z indianistami z innych miejsc Polski. Częste spotkania wyjazdowe i na miejscu. Wówczas

szczególnie często spotykaliśmy się z Grupą Białostocką, z którą byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

Jako uzupełnienie spotkań złotych zaczęliśmy organizować zimowe spotkania w formie sesji naukowych. Pierwsza odbyła się w 1984 r. w Towarzystwie Archeologicznym i Numizmatycznym. Potem była sesja w Ryni, przy pomocy Ogólnopolskiej Rady Nauk Społecznych, następna na Uniwersytecie Warszawskim a także sesja meksykańistyczna organizowana w ramach wyprawy naukowej do Meksyku w 1987 r. (w 1984 r. zacząłem bowiem studia na etnografii na Uniwersytecie Warszawskim co miało ścisły związek z moimi indianistycznymi zainteresowaniami). W sesjach tych miało okazję zaprezentować się wielu naukowców i indianistów. Niektóre z tych wydarzeń odbywały się w ramach Koła Zainteresowań Kulturą Indian, które założyliśmy przy Instytucie Historycznym UW.

To był też okres nawiązywania kontaktów zagranicznych. W 1985 r. za pośrednictwem czasopisma „Amedian” (zachodniemieckiego pisma o tematyce indiańskiej), nawiązaliśmy z Witkiem Jacóczyńskim pierwsze kontakty z indianistami z Niemiec Zachodnich. Dzięki temu w 1986 r. otrzymałem wiadomość o II Euromeetingu w Luksemburgu. Wprawdzie, nikomu nie udało się wziąć udziału w tym spotkaniu ale otrzymałem z niego pełną dokumentację oraz adresy grup poparcia oraz pojedynczych osób związanych z tematyką indiańską w z całej Europy, z którymi nawiązałem kontakty korespondencyjne.

Wtedy też gościł na Uniwersytecie Warszawskim badacz Indian północnoamerykańskich prof. Christian F. Feest. W rezultacie zawartej wtedy znajomości, kilka osób (m. in. prof. Ewa Nowicka, ja, Witek Jacóczyński, Jola Strzelczyk) wzięło udział w konferencji amerykańistycznej w Budapeszcie, w 1986r. Kilka miesięcy później, Ewa Nowicka i ja zostaliśmy zaproszeni przez Christiana F. Feesta do Wiednia, do tamtejszego Muzeum Etnograficznego. Przy okazji tej wizyty spotkaliśmy się z członkami austriackich grup poparcia dla Indian, m. in. Reinhardem Trinkiem i Peterem Schwarzbauerem; dzięki wcześniej nawiązanym kontaktom korespondencyjnym.

Również wtedy zaczął współpracować ze mną Przemek Pastewski, który rozpoczął studia na etnografii i zamieszkał ze mną w jednym pokoju. Na czas mojego wyjazdu do Meksyku w 1987 r. przejął całą korespondencję. To właśnie jemu pierwszemu udało się wziąć udział w IV Euromeetingu, w Malmö w 1988 r. Rok później, dzięki wsparciu nieocenionej Heleny Nyberg ze szwajcarskiej grupy poparcia Incomindios, Jurek Tołłoczko, Marek Nowocień i ja, autostopem, wybraliśmy się do Zurichu na V Euromeeting (i tam po raz pierwszy spotkałem przedstawicieli Rodzimych Amerykanów). Każdy z następnych Euromeetingów odbywał się z udziałem kogoś z Polski (np. Wiesława Kołeczka). Ja wzięłem jeszcze udział w VII Euromeetingu w Stadtrodzie (Niemcy Wschodnie), w 1991 r., organizowanym przez naszego dobrego znajomego Berndta Damisha, oraz w (jak do tej pory ostatnim) Euromeetingu w Berlinie, 1997 r. (przy wydatnej pomocy logistycznej ze strony Berndta).

Z Berndem spotykaliśmy się wielokrotnie, wcześniej i później: na Złotach w Triptis (NRD), na Euromeetingu w Zurichu, na Biegu w USA, na Biegach w Europie oraz innych okazjach.

W międzyczasie kilka osób, w czasie swoich studiów zaczęło realizować swoje marzenie wyjazdu na indiańskie ziemie. Okoliczności zdecydowały, że był to Meksyk. Zadanie praktycznie niemożliwe do wykonania stało się faktem. W 1987 r. Darek Wołowski, Witek Ja-

córzyński, ja, kilkoro innych studentów, z opiekunami naukowymi Elżbietą Siarkiewicz i Ryszardem Tomickim, udaliśmy się na spotkanie z przygodą. W moim przypadku było to 6 miesięcy. Przeskok z szarej, socjalistycznej Polski do wielobarwnego Meksyku był szokiem. Osobą dzięki której wyjazd naszej trójki doszedł do skutku był nasz meksykański przyjaciel, poznany w Warszawie, Jesus Manzera Romo. Przyjęci przez niego i jego rodzinę pod ich dach mogliśmy oddać się urokom poznawania Meksyku. W czasie tej podróży zwiedziłem stolicę z ruinami Tenochtitlan, Stan Meksyk z piramidami w Teotihuacan, mieszkalem wśród Chinanteców w Oaxaca oraz wśród Nahuja, w górach w Guerrero. Zajrzałem do Indian z Chamula w Chiapas, odwiedziłem piramidy w Palenque oraz ważniejsze siedziby Majów na Jukatanie. Poznałem tam mnóstwo wspaniałych ludzi. Po powrocie do Polski tęskniłem za Meksykiem tak bardzo, że 2 lata później udałem się tam ponownie, na 2 miesiące. Odwiedziłem stare miejsca i przyjaciół a dodatkowo zajrzałem do Jalisco gdzie wziąłem udział w Kanto de la Tierra, międzyplemiennym spotkaniu prowadzonym przez zamieszkałego w Teksasie szamana Pu-repecha, Raymundo „Tigre” Pereza. Tam, pierwszy raz w życiu, wziąłem udział w szalasie potu, Trzeci raz pojechałem tam już z moją rodziną. Po 19 latach od poprzedniego pobytu miałem poczucie, jakbym widział się ze wszystkimi wczoraj. Odwiedziliśmy też rodzinę Jacórzyńskich oraz Totonaków w Veracruz.

Podróż na tereny położone bardziej na północ miała miejsce kilka lat później...

Ciąg zdarzeń, który do tego doprowadził zaczął się od nawiązania kontaktów z grupami z Europy Zachodniej i późniejszej wizyty na Euromeeingu w Zurichu. Tam dowiedzieliśmy się o planowanym Świętym Biegu z Londynu do Moskwy. Usłyszeliśmy i zapomnieliśmy bo cóż my mogliśmy zrobić. Ale Bieg nie zapomniał o nas. Listy od Dennisa Banksa i Marie Taupin z Francji (koordynatorki Biegu na Europę) nadeszły w styczniu 1990 r. a Bieg miał się rozpocząć w sierpniu. Zaczęły się spotkania w Berlinie Zachodnim, u Angeli Warsitz. Dzięki jej deklaracji pomocy (również finansowej) mogliśmy zacząć myśleć o organizacji Biegu przez tereny Polski. Angela pomagała nam jeszcze wielokrotnie, przy różnych okazjach). Wkrótce nadszedł list od Banksa z prośbą abym został koordynatorem tego Biegu. Tu musiało nastąpić jeszcze jedno zdarzenie. Ostatecznym bodźcem do założenia Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian stała się organizacja Biegu. Z założeniem PSPI nosiliśmy się od dłuższego czasu a do organizacji Biegu było nam ono po prostu niezbędne. Stowarzyszenie zostało zarejestrowane w Białymstoku. Staliśmy się podmiotem do rozmów z innymi instytucjami. W Stowarzyszeniu pełniłem na początku funkcję wiceprzewodniczącego a potem głównie koordynatora do spraw zagranicznych.

Po kilku miesiącach ciężkiej pracy z Markiem Nowocieniem (kolejnej osoby bez której Bieg by się nie odbył) i wielu innymi osobami przywitaliśmy Święty Bieg pod koniec sierpnia, w Zgorzelcu. Wtedy, po raz pierwszy większości indianistów mogła spotkać przedstawicieli Ludów Tubylczych Ameryki. Wg mojej oceny była to do tej pory, największa i najważniejsza impreza w Ruchu. Zostało otwarte okno na świat, na Indian, na przyszłość. Dla wielu z nas Święty Bieg trwał dalej. Dzięki pracy dla Biegu w 1990 r. byliśmy zapraszani przez Dennisa Banksa do udziału w kolejnych bez ponoszenia opłat za uczestnictwo. W kolejnych latach, podczas kolejnych Biegów wielu z nas wzięło w nich udział. W 1992 r., z kilkoma innymi osobami (Jacek Piwowski, Bartek Stranz, Ania Podgórska, Joanna Lewicka, Ilona Goryńska) wziąłem udział w Świętym Biegu z Alaski do Nowego Meksyku. Przebiegłem wiele mil, odwiedzając wiele Indiańskich Rezerwatów, poznając Rodzimych Amerykanów, obserwując cuda tamtejszej przyrody, poznając magiczne dla każdego indianisty miejsca (Wounded Knee, Pine Ridge, Black Hills, Pipestone, etc). W 1995 roku dzięki japońskiej koordynatorce Yumiko Horikoshi wziąłem (wraz ze śp. bratem Zdzichem oraz Anią Domińską) udział w Świętym Biegu z Sapporo do Nagasaki. A w 1997 r. wziąłem, wraz z Anną Domińską i przyszłą żoną Dorotą Ligocką, udział w Świętym Biegu Irlandia-Szkocja.

A przecież jeszcze wcześniej, w 1994 r. odbył się środkowoeuropejski Bieg Przyjaźni Narodów (Polska, Niemcy, Czechy, Słowacja) organizowany przez indianistów z tych krajów. A w grudniu tego roku wystartowała Pielgrzymka dla Pokoju i Życia z Oświęcimia do Nagasaki, podczas której spotkaliśmy się z Dennisem Banksem i Yumiko Horikishi. A jeszcze w 1996 r. wziąłem udział w rozpoczęciu Biegu Wolności dla Leonarda Peltiera z Góry Św. Anny do Genewy...

Na koniec kilka refleksji...

Indianie. W dużym stopniu moje życie było im podporządkowane. Z ich powodu nauczyłem się fotografii, angielskiego, hiszpańskiego, studiowałem etnografię. Indianie dali mi marzenia, które chciałem realizować. Wiele z nich mi się udało. Pracując dla Indian, pracowałem dla siebie. Nie oczekując nagrody zostałem wielokrotnie nagrodzony, w zupełnie niespodziewanych momentach.

Ruch dał mi możliwość rozwoju moich zainteresowań. Poznałem w nim wielu wspaniałych ludzi, z którymi mogłem współpracować w różnych dziedzinach, wymieniać się wiedzą lub po prostu spędzać wspólnie czas, odwiedzać się – bezcennie. Mój adres w akademiku na Kickiego znała większość ówczesnych indianistów a wielu z nich miałem okazję gościć. Robiąc cokolwiek w związku z Indianami, zawsze miałem poczucie, że robię to w ramach Ruchu. Cenię sobie też to, że udało mi się wprowadzić do Ruchu kilkoro wartościowych ludzi.

Uważam, że Ruch będzie trwał dopóki będzie miał formułę otwartą. Dopóki znajdzie się tam miejsce dla każdego zainteresowanego, niezależnie od sposobu zainteresowania. W Ruchu są ludzie interesujący się Indianami i jeżdżący na Złoty. Są ludzie i nie jeżdżący na Złoty (lub bywający rzadko). Są też ludzie, którzy nie interesują się Indianami ale jeżdżą na Złoty bo się tam dobrze czują.

Złoty to dla mnie możliwość spotkania z ludźmi, wymiana wiedzy, magiczna atmosfera, szczególnie pierwszych kameralnych Złotów, w których brało udział kilkadziesiąt osób. Złoty obecne, z kilkusetosobową liczbą uczestników też sobie chwalę. Toalety, faktorie, sklepy, rozrywki to dla starszej osoby same plusy. Po prostu czasy się zmieniły. Na którymś Zlocie poznałem w końcu człowieka-legendę, Sat-Okha, którego wcześniej znałem tylko z książek, opowieści i występów w telewizji. Jedyny Złot, który współorganizowałem miał miejsce w 1985r. nad Szelmentem Wielkim, na Suwalszczyźnie.

Złot na którym powstała idea czasopisma „Tawacin” - Pisma Przyjaciół Indian. Czasopisma o wieloletniej historii, z którym miałem zaszczyt współpracować przez kilka, zwłaszcza początkowych lat. Czasopisma, którego rolę trudno przecenić.

Miałem okazję brać udział w przedsięwzięciach, które wydawały się niemożliwe do zrealizowania: organizacja wyprawy do Meksyku, organizacja Świętego Biegu w Polsce, przebiegnięcie 100 km czy nawet dystansu zwykłego maratonu.

Chciałbym też tutaj wymienić osoby, którym szczególnie dużo zawdzięczam w mojej działalności, w Ruchu: Marek Maciołek, Stefania Antoniewicz, Witek Jacórzyński, Darek Wołowski, Jurek Tołłoczko, Ewa Nowicka, Marek Nowocień, Jesus Manzera Romo, Helena Nyberg, Angela Warsitz, Dennis Banks, Yumiko Horikoshi, Zdzichu Bala.

Ruchowi wreszcie, zawdzięczam moją rodzinę. To kolejny, naturalny etap. Kiedy zaczynaliśmy przygodę w Ruchu sami byliśmy dziećmi. Teraz dochodzą nasze dzieci albo nawet wnuki.

Roman Bala

Ruch jest jak rzeka

PRPI, czyli Ruch, był kiedyś dla mnie (i chyba dla sporej grupy osób) źródłem siły i wsparciem w dość beznadziejnych czasach. Taką funkcję spełniały przede wszystkim zloty. Ogień w tipi i spanie pod gołym niebem. Ludzie, z którymi rozumiałam się w pół słowa i w pół dowcipu (a tego rodzaju porozumienie było ważne, bo dużo się śmialiśmy – także z siebie nawzajem).

Grywaliśmy na bębnach i różnych innych instrumentach „indiańskich”, ale pamiętam przede wszystkim gitary i grających na nich Przemka Maciołka, Mariusza Kosmańskiego, Derkę (Maćka Stranżę), Witka Jacórzynskiego, Darka Wołowskiego..., ale też harmonijkę ustną. Wracaliśmy kiedyś z Kosmą (Darkiem Chrościelewskim), Henią i Czejenem z pobliskiego miasta do obozowiska na tzw. „Florydzie” koło Kręgu. Uciekł nam ostatni autobus. Całą noc, chyba 25 km, szliśmy pieszo, milcząc, wsłuchani w grającego na harmonijce Kosmę. Grał oczywiście bluesa. Pamiętam mistyczne wręcz odczucie, które ogarnęło naszą czwórkę, gdy zobaczyliśmy wschodzące słońce. Jak zaczarowani usiedliśmy wtedy przy drodze, nadal nic nie mówiąc i wsłuchując się w świt.

Ruch dawał nam poczucie wspólnoty. Wspólnoty w znaczeniu „plemiennym”, trudnej do osiągnięcia w społeczeństwie, w którym żyjemy. Bywał współdzieleniem świata z ludźmi, którzy go tak samo widzieli i rozumieli. Dawał nam też przestrzeń, w której było więcej wolności. Miałam poczucie, że zloty były w innym miejscu i czasie, niż reszta rzeczywistości, która nas otaczała. Powroty do zewnętrznego świata były trudne. Czasem zaczynały się już w pociągu od pokrzykującego na ludzi konduktora. Uświadamiałam sobie wtedy, jak bardzo różni się rzeczywistość, w której funkcjonujemy w obozowisku, od świata, w którym żyjemy na co dzień.

Niektórzy próbowali żyć w ten sam „złotowy” sposób przez cały rok, np. w Bieszczadach (z prób tych słynęli Gdyniaczy). Mistrzem naszym był Patryk Lewandowski, który przetrwał pewną ciężką zimę w tipi rozbity gdzieś na poligonie wojskowym. Pamiętam jego opowieść. Siedzieliśmy wtedy w trójkę z Patrykiem i Majkiem z Torunia na pagórku, z którego był widok na oświetlony księżycem krąg namiotów i nielicznych jeszcze wówczas tipi. Z rozmowy o spaniu na rozgrzanych w ognisku kamieniach przeszliśmy płynnie do Czarnoksiężnika z Archipelagu Ursuli Le Guin, którą to książkę Majk właśnie przeczytał. Nasz złotowy świat był magiczny. A w każdym bądź razie nie był to zwykły świat.

Czasem zlot spędzałam przede wszystkim z jedną, dwiema, trzema osobami, w których tipi gościłam (albo, które rozbiły się gdzieś obok mnie), słuchając ich historii. Dzięki temu wciąż mogę mieć w pamięci opowieści Leszka Michalika i Andrzeja Rutkowskiego.

Moja córka po raz pierwszy przyjechała na zlot, gdy miała dwa lata. Podobało jej się, chociaż nie zawsze było miło. Kiedyś na nią nakrzyczano (miała ze cztery lata), bo oparła się niebacznie o paliki wyznaczające święty krąg wokół głównego ognia. Miałam wrażenie, że po moim dłuższym niepobycie na zlotach w latach 90., coś się zdecydowanie zmieniło. Przyjeżdżałam z córką co kilka lat. Pamiętam, że na jednym ze zlotów zakolegowała się z Dorianem. I to jest dobre wspomnienie – wspomnienie Doriana, który wygląda na szczęśliwego chodząc po obozowisku z małą dziewczynką i opowiadając jej różne niesamowite historie. I też dobre wspomnienie zadowolenia z towarzystwa fajnego, dorosłego kolegi dziewczynki.

Większości ludzi, których tu wspomniałam, już nie spotkam - Przemka, Kosmy, Doriana, Andrzeja, Leszka, Patryka, Majka; oprócz nich

też m.in. Krysi Gieroi, Gosi Szparadowskiej, Marysi Przybylak... - choć są z nami nadal, żyjąc w naszej pamięci.

Wszystko ma swoje dobre i złe strony. Dobrą stroną tego, że ktoś nakrzyczał na moją córeczkę była myśl, że warto by zaprosić na zlot kogoś, kto mógłby autorytatywnie odpowiedzieć, czy dziecko może się opierać o paliki okalające ognisko. Wydawało mi się, że - nowa dla mnie - świętość i nietykalność palików wynikała z potrzeby kontaktu z rzeczami ważnymi i poważnymi (niektórzy mogliby tu użyć słowa *sacrum*) i że może ktoś nam nie tyle podsunie coś ciekawszego, niż te paliki, co podpowie na czym powinniśmy się skoncentrować. Taki autorytet dla Przyjaciół Indian mógł mieć tylko Indianin. Los mnie wysłuchał i - gdy byłam na spotkaniu Amnesty International, której byłam członkiem - zesłał szansę zaproszenia działacza lub działaczki z American Indian Movement. Po konsultacjach z Markiem Maciołkiem i Markiem Nowocieniem los padł na Jamesa Robideau (miała już z nim wówczas kontakt przebywająca wówczas w Stanach i zainteresowana kulturami tubylczymi Alicja Sordyl). Zorganizowanie przyjazdu wymagało pół roku mojej intensywnej pracy, a pobyt Jamesa - pomocy wielu osób z Ruchu, w tym Mariusza Kosmańskiego, Grzesia Marszałka, Darka Kachlaka, Magdy Baklińskiej, że wymienię tylko tych czworo z licznej grupy wsparcia. Skutek był taki, że zadowolony z przyjęcia James wracał do Polski kilkakrotnie. James nie był pierwszym Indianinem, którego spotkałam się w Polsce. Jedenaście lat wcześniej, w 1990 roku, miałam możliwość uczestniczenia w Świętym Biegu organizowanym w Europie przez Dennisa Banksa. Początkowo wcale nie zamierzałam tego robić. Po półrocznym pobycie w Meksyku, gdzie mieszkalam głównie wśród tubylczych społeczności mówiących na co dzień własnymi językami, wydawało mi się, że Indianie ze Stanów będą mało „autentyczni”. Pomyliłam się. Pojechałam do Warszawy na jeden dzień, posłuchać koncertu ludzi z Sacred Run na Torwarze i zostałam do końca Biegu w Polsce zafascynowana tym, co zobaczyłam. Gdy na przejściu granicznym w Ogrodnikach zegnaliśmy Indian, Saamów, Ajnów, Japończyków i wszystkich innych biegaczy, nie wiedziałam, że za kilka tygodni na obrzeżach Moskwy dostrzeżemy z Piotrem Spólnym biegnącego Taichi Akiyamę i dołączając do Biegu pomożemy pilotować go w drodze powrotnej - na odcinku z Moskwy do Warszawy.

PRPI zmienia się nieustannie. Powiedziałabym, że jest jak rzeka. Gdy spojrzeć na rzekę z brzegu w prawo i w lewo, to widać ten sam nurt, ale jeśli porównamy źródło z ujściem, to nie mamy wątpliwości, że strumień się zmienił. Zdarzały się sytuacje, które zapowiadały, że nurt naszej rzeki może się rozdzielić i powstaną osobne koryta, ale jednak nadal co roku się spotykamy. Rzeka zgarnia coraz więcej wody, jest lepiej widoczna na zewnątrz, a zloty gromadzą wielu nowych, ciekawych ludzi. Nurt rozlanej rzeki nie jest jednak tak silny, jak był w jej górnym biegu. Płynie sobie dość leniwie. A może tylko tak mi się wydaje?

Nazywamy się Polskim Ruchem Przyjaciół Indian. Nie jest to „Ruch Pasjonatów”, „Miłośników”, „Osób Zainteresowanych” tylko: „Przyjaciół Indian”. Za takich się uważamy. Wielu z nas zawarło osobiste przyjaźnie z ludźmi z tubylczych społeczności w obydwóch Amerykach. Ale są to właśnie przyjaźnie osobiste. Nie wiem, czy jacyś Indianie odczuwają „przyjaźń” całego naszego Ruchu jako organizacji ich wspierającej. Czy - jako Ruch - robimy coś dzięki czemu tę wzajemną przyjaźń moglibyśmy zyskać i zachować? Może warto się nad tym zastanowić, pomimo naszych tradycyjnych, anarchistycznych skłonności.

Magdalena Krysińska-Kałużna

Ścieżka do tipi

Moje wspomnienia związane z PRPI

Moje zainteresowania Indianami zaczęły się na początku szkoły podstawowej. W świecie w którym praktycznie nie istniała telewizja to książki były oknem na świat. Pochłaniałem książki jedna za drugą. Bardzo lubiłem czytać powieści przygodowe i bibliotekarka poleciła mi raz niepozorną książeczkę A. Bahdaja „W stronę Kansas City”. Chyba nie było tam nic o Indianach, ale w tamtych czasach polska czarno-biała telewizja pokazywała co sobotę western amerykański, którego dialogi zawsze czytał Jan Suzin i które oglądałem z zapartym tchem. Zapragnąłem więc przeczytać coś więcej na temat Dzikiego Zachodu niż tylko tę jedną książeczkę. Bibliotekarka poleciła mi „Orinoko” A. Fiedlera. I ta powieść przypadła mi bardzo do gustu, choć dotyczyła życia Indian Ameryki Południowej. Po oddaniu tej książki z powrotem do biblioteki wypożyczyłem kolejną. Tym razem była to „Ziemia Słonych Skał” Sat-Okha. To było to czego szukałem. Do dziś pamiętam tę kolejność, te trzy pierwsze książki które przywiodły mnie do tematyki Indian Północnej Ameryki.

W następnej kolejności były „Mały Bizon” A. Fiedlera, trylogia Szklarskich „Złoto Gór Czarnych”, trylogia L.J. Okonia o Tecumsehu, „Indianie na wojennej ścieżce” M. Stingla czy „Wielcy Wodzowie Indian” P. Pieroniego i wiele, wiele innych. Przeczytałem wszystko co można było znaleźć w naszej miejskiej bibliotece. Wciąż mi było mało i mało. Jednocześnie czułem się osamotniony w swoich zainteresowaniach.

Napisałem wówczas list do jednego z ówczesnych magazynów dziecięco – młodzieżowych. Mój anons z adresem i opisem zainteresowań został opublikowany. Zaczęły przychodzić listy od innych młodych chłopaków zafascynowanych jak ja Indianami. Jeden z kontaktów okazał się na wagę złota. Napisał do mnie Robert Polechoński mieszkający wówczas w Koszalinie, od którego dowiedziałem się o istnieniu Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian! Dowiedziałem się, że co roku są organizowane zloty w różnych zakątkach Polski. Jak bardzo zapragnąłem tam pojechać!

W tamtych czasach informacje czym jest PRPI i co dzieje się na zlotach było bardzo trudno zweryfikować. Mimo kilkumiesięcznych „podchodów” nie udało mi się więc przekonać swych rodziców, by puścili mnie na zlot nad Jeziorem Košno na Warmii. Był to rok 1984. Pamiętam swoje rozżalenie i gorycz na wakacjach nad innym jeziorem, które spędziłem ze swoim ojcem. Byłem zły, że nie mogłem pojechać na swój pierwszy zlot tego lata.

W tym czasie dotarłem do zainteresowanych Indianami w swoim rodzinnym Toruniu. Byli to ludzie w jakimś stopniu związani z kulturą hipisowską. Wtedy wszystkie drogi prowadziły do mieszkania ś.p. Zbyszka Micka Osmulskiego. Tam przy dźwiękach winylowej płyty Redbone z utworem, który do dziś dźwięczy mi w uszach „We were all wounded at Wounded Knee” oglądałem czarno-białe zdjęcia ze zlotu, na którym nie mogłem być, wypijałem hektolitry herbaty rozmawiając o Indianach.

Rosła we mnie determinacja, że następnego roku muszę być koniecznie na zlocie. Cały ten czas urabiałem rodziców, którzy już pewnie nie mogli słuchać mego utyskiwania na ten temat. Gdy więc dostałem wiadomość, że na wiosnę 1985 r. w Rynii koło Warszawy jest organizowana sesja popularno-naukowa PRPI z wykładami na temat Indian, poczułem swoją szansę. Namówiłem swoją ciocię, by pojechała ze mną. Rodzice zgodzili się na ten wyjazd

skoro jechać miała ze mną moja ciotka. Ciocia była wspaniałą kobietą, wspólnie dojechalśmy koleją do Warszawy i się ... rozstaliśmy. Ona na weekend pojechała do swych dawno nie widzianych znajomych, a ja do Rynii. Po 2 czy 3 dniach spotkaliśmy się w umówionym miejscu i wróciliśmy pociągiem do Torunia.

Tak więc moje pierwsze zetknięcie się z Ruchem miało miejsce na sesji w Rynii. Pamiętam z niej, że poznałem wtedy osoby które miały mieć duży wpływ na wiele późniejszych lat mego indianistycznego życia: Marka Nowocienia, Marka Maciołka, Jurka Tołłoczke czy Witka Jacórzyńskiego. Tam dowiedziałem się o Indiankiej Babci Stefanii Antoniewicz, o Leonardzie Peltierze czy o braciach Dino i Gary Butlerach. W ogóle dowiedziałem się wówczas o istnieniu American Indian Movement i o tym co obecnie porabiają Indianie w Stanach Zjednoczonych. Nawiązałem w Rynii sporo znajomości i przywiozłem do domu pokazny zbiór adresów. Zawsze spotkanie indianistyczne traktowałem jako potencjalne źródło nawiązania kolejnych wartościowych znajomości i zdobycia trudno dostępnych materiałów.

Rodzice, którym to wszystko opowiadałem, zdali sobie sprawę, że wsiąknę w tę tematykę na poważnie i wyrazili zgodę na mój samodzielny wyjazd na IX zlot PRPI. Byłem wtedy najszcześliwszym człowiekiem na świecie! Obiecałem im, że jak tylko zajadę na zlot to wyślę do rodziny telegram z pobliskiej poczty, że zjechałem szczęśliwie. Zlot miał miejsce nad Jeziorem Szelmęt Wielki na Pojezierzu Suwalskim i jeśli dobrze pamiętam organizowany był przez tzw. grupę warszawską.

Schemat uczestniczenia w corocznym zlocie był zawsze podobny. Przez cały rok pisałem dziesiątki listów, takich tradycyjnych, pisanych ręcznie i wkładanych do koperty. Na znaczki wydawałem krocie. Tą drogą dowiadywałem się gdzie w danym roku odbędzie się zlot. Pozostawało czekać na zaproszenie i mapkę. Któryś z listów zawierał upragnione informacje. Na zlot przyjeżdżali ludzie zaproszeni przez organizatora, raczej brak było osób przypadkowych. Przepływ informacji ograniczony do wysyłanych imiennie zaproszeń skutecznie ograniczał ilość zlotowiczów. Mapka z lokalizacją zlotu i ewentualnym wskazówkami była w tym wszystkim kluczowa. Najprościej było dojechać do Suwałk, a potem autobusem do wskazanej wsi. Dalej zaczynała się „indiańska” przygoda. Wskazówki jak dotrzeć na teren obozu wyglądały mniej więcej tak (cytuje z pamięci, bardziej chodzi o sposób przekazu): „Za przystankiem PKS skręć w drugą ścieżkę w prawo i kieruj się w stronę samotnego drzewa. Idź dalej na północ przez wzgórze jakieś pół kilometra aż dojdiesz do głazu narzutowego. Skręć w lewo, a następnie po jakiś 150 metrach w prawo, aż zobaczysz linię drzew. Dojdź tam i idź wzdłuż lasu. Kiedy las się skończy skieruj się na północny wschód na wzgórze widoczne z oddali skąd już powinienś zobaczyć na dole jezioro i obozowisko z tipi.” Do instrukcji dołączona była odręcznie narysowana mapka.

Nie muszę dodawać, że dla własnego dobra lepiej nie było pokazywać tego w domu. Dotarcie na zlot było sporym wyzwaniem, a na miejscu też na nikogo nie czekały luksusy. Pamiętam, że wówczas nie miałem własnego sprzętu, więc targałem ze sobą, wypożyczony z wypożyczalni zakładowej ojca, namiot i śpiwór oraz mnóstwo konserw w puszkach. Najbliższy sklep spożywczy oddalony był od terenu zlotu jakieś 10 km i wyprawa po zakupy trwała pół dnia, warto było więc mieć własne jedzenie, ile tylko

się dało. Na terenie zlotu nie było latryn w tamtych czasach. Każdy wędrował z saperką do pobliskiego lasu kiedy zaszła taka konieczność. Dopiero później zaczęto kopać doły na toaletę z prostą konstrukcją z bali. Po zlocie dół się po prostu zasypywało. Nie było też oczywiście żadnego prądu czy pojemników z wodą. Nad Szelmentem schodziliśmy po wodę do jeziora i tę wodę piliśmy po przegotowaniu. W innych miejscach, na innych zlotach były rzeki i z nich korzystaliśmy. Wyznaczone były jedynie miejsca przeznaczone do mycia i do pobierania wody pitnej.

Mimo spartańskich warunków atmosfera była wspaniała i wszyscy byli zadowoleni. Wszyscy z zazdrością patrzyli na Siuksa, który przyjechał z pobliskiego Białegostoku na motocyklu. Był to jedyny przypadek, że ktoś dotarł na miejsce tego zlotu nie na własnych nogach. Swoją drogą też musiał nieco natrudzić się z dotarciem bo jechał przez trawiaste wzgórza i doliny jakich pełno na tym pojezierzu. Jak wspominałem na teren zlotu nie wiodła żadna droga, którą można by uznać za cywilizowaną. Zloty były organizowane na odludziu i chyba specjalnie w miejscach trudno dostępnych dla osób postronnych.

Na zlocie nad Szelmentem stało, jeśli dobrze pamiętam, jakieś dziewięć tipi. I każde odwiedziłem. Drapałem w drzwi i zaproszony wchodziłem na kubek herbaty. Wtedy wszyscy wszystkich znali, a jak się nie znali to się poznawali. Nie było anonimowości. Z każdego zlotu przywoziłem nowe kontakty. To było wspaniałe w tamtych czasach, że znaliśmy się wzajemnie dość dobrze i jeśli wpadło się sobie w objęcia po roku niewidzenia to nie było to zwyczajowe powitanie. Te „misie” wyrażały radość ze spotkania dawno niewidzianych przyjaciół.

Na tym zlocie pojawił się też jeden Meksykanin, czy może Indianin - tego nie jestem dziś pewien. Studiował z tego co pamiętam w Warszawie i przywiózł na zlot indiańskie ponczo. Był tak miły, że pożyczył mi je na trochę. Przebrałem się w nie i poprosiłem o kilka zdjęć. Po raz pierwszy ubrałem się w „indiański” strój. Fotografia przedstawiająca moją osobę w tym ponczo na tle tipi długi czas była ozdobą mojego pokoju. Na tym zlocie dowiedziałem się też o idei powstania pierwszego pisma indianistycznego „Tawacin”. Krótco potem miałem w swoim ręku pierwszy numer tego pisma, wydawanego wówczas metodą kserograficzną.

„Tawacin” stał się częścią mego życia. Przez kolejnych 25 lat, aż do zaprzestania działalności pisma zgromadziłem wszystkie 88 numery. Dzień w którym otrzymywałem to pismo, dwa czy trzy razy w roku (dopiero później Tawacin zaczął ukazywać się regularnie, co kwartał) był świętem. Kochałem to pismo, chłonałem treści jakie przynosił. Nie przeszkadzało mi to, że Tawacin wyglądał jak pismo z drugiego obiegu, zakazane w tamtej Polsce. Sporadycznie też coś pisałem do Tawacinu, aż w pewnym momencie, na jakiś czas stałem się współpracownikiem i pisywałem recenzje książek. Niestety nie miałem w tej pracy takiej wytrwałości jaką potrafił wykrzesać z siebie podziwiany przeze mnie naczelny redaktor pisma, Marek Maciołek.

Po zlocie następował czas liczony dniami „do następnego zlotu”. To zlot wyznaczał w pewnym sensie rytm mojego kalendarzowego roku. W jego trakcie oczywiście czytałem i pisałem listy, m.in. z trudem zacząłem pisać listy za ocean. Do skarbów należały trzy numery „Akwasasne Notes” jakie otrzymałem od redakcji tego słynnego panindiańskiego kwartalnika. W „Akwasasne” wydrukowano także mój list w dziale „Listy do wydawcy”. Ośmielony tym sukcesem pisałem dalej co jakiś czas otrzymując, a to gazetę indiańską, a to książkę od Indian, których zadziwiał fakt, że są ludzie tak zainteresowani Tubylczymi Amerykanami za żelazną kurtyną. Przetłumaczone materiały krążyły wśród nas, po Polsce. Choć teraz trudno to sobie wyobrazić, przy braku możliwości kopiowania tych materiałów, my je przepisywaliśmy ręcznie. Bodaj Marek Nowocień przygotowywał takie newsy, coś w rodzaju prasówki i żeby mieć swój egzemplarz na stałe przepisywałem słowo w słowo te

wiadomości. Kiedy zacząłem się bawić fotografią w naszym Domu Kultury, mogłem już fotografować kartki z informacjami na temat współczesności Indian i je wywoływać na odbitkach fotograficznych! Współczesnością Indian najbardziej się wtedy interesowałem. Pojawienie się punktów z usługami kserograficznymi było prawdziwą rewolucją w naszym życiu i błogosławieństwem.

Szafy wypełniały się pękatymi teczkami z materiałami na najróżniejsze tematy związane z historią i kulturą Indian. Moje zbiory rosły też z powodu nawiązania kontaktów z indianistami ze Związku Radzieckiego i Zachodnich Niemiec. Z Niemiec zacząłem otrzymywać regularnie pismo „amedian” a zza wschodniej granicy otrzymałem w darze nieco książek po rosyjsku, co cieszyło mnie niezmiernie, jako że rosyjski znałem wtedy dość dobrze, czego nie mogłem powiedzieć o angielskim.

W 1986 r. pojechałem na swój drugi zlot, który był zlotem jubileuszowym, dziesiątym i który odbywał się przy stawie pod Chodzieżą. Pamiętam, że mówiło się o nim Papiernia. Dotrzeć tam było zdecydowanie łatwiej niż na zlot rok wcześniej i pojawiły się nawet jakieś samochody. Samochodem na ten zlot przyjechał też Sat-Okh. Poznanie żywej legendy, polskiego Indianina, jest głównym moim wspomnieniem z tego zlotu. Zaprzyjaźniłem się nawet z Satem. Pytałem go o różne sprawy, które nasunęły się mi w czasie lektury „Ziemi słonych skał”, a on mi tłumaczył.

Któregoś wieczoru zaszedłem do niego. Sat przyjechał samochodem z przyczepą kempingową i obozował nieco z dala od głównego obozowiska. Patrząc, a on siedzi przed tą swoją przyczepą i ogląda wystawiony na zewnątrz mały czarno-biały telewizor z antenką. „Siadaj” - powiedział do mnie - „jak chcesz to możesz oglądać ze mną. Dzisiaj są wybory Miss Polonia i nie mogę tego przegapić”. Choć wydało mi się to nieco dziwne oglądać telewizję na zlocie i do tego wybory Miss Polonia, to czułem się wyróżniony, że oto siedzę sobie obok Sata jak jego przyjaciel. Taki był po prostu Sat-Okh, bardzo naturalny, życzliwy i szczery.

Na tym zlocie było dużo słońca i było bardzo ciepło (w przeciwieństwie do poprzedniego roku), więc grupa chodzieska, która była organizatorem tego zlotu przygotowała sporo sportowych zawodów. Po raz pierwszy zetknąłem się wówczas z grą „w bizonie jądra”. Z racji „krzyżackiego” pochodzenia zostałem włączony do gry po stronie grupy sztumskiej naprzeciw warszawskiej. Przed walką odśpiewaliśmy swoje hymny. Sztumiacy zaśpiewali jakąś krzyżacką pieśń. Po walce, której wyniku nie pamiętam, miałem sporo zadrapań na całym ciele po uderzeniach kijów przeciwników.

Odbłyły się też zawody w strzelaniu z łuku i indiańskie zapasy. Niestety poległem w zapasach w starciu z Niedźwiadem, który był ode mnie sporo większy i przygnoił mnie swoją masą. Byłem dość mocno poturbowany i nieco rozgoryczony faktem, że nikt nie przestrzegał tutaj kategorii wagowych.

Na ten zlot pojechałem bez namiotu, miałem spać w tipi i tak też się stało. Na czas zlotu mieszkaliśmy w słynnym tipi grupy z Łodzi. To było najpiękniejsze tipi tamtych czasów, było pomalowane w konie i pasy, do dziś można je znaleźć na starych fotografiach. Spełniło się moje marzenie, spałem po raz pierwszy przez kilka złotych dni w prawdziwym tipi. Minęło jeszcze sporo lat zanim przyjechałem na zlot ze swoim własnym tipi.

Z tej „kwatery” pamiętam kolejne nowe znajomości, z ś.p. Andrzejem Rutkowskim zwanym Siuksem oraz Czejenem – Aleksandrem Suda-kiem, który wtedy mieszkał właśnie w Łodzi. Poznałem na X Zlocie też ludzi ze Sztumu, a przede wszystkim Leszka Michalika. Za jakiś czas ta znajomość przerodziła się w bardzo dużą zażyłość i przyjaźń. Osobowość Leszka wywarła na mnie bardzo duży wpływ. Jeździłem na zloty każdego lata. Do chwili upadku PRL zloty zawsze organizowano w najbliższy daty 22 lipca weekend, ze wzglę-

du na ówczesne święto państwowe i wolne od pracy. Później, po upadku komunizmu, termin się nieco przesunął na przełom lipca i sierpnia. Jeździłem też regularnie na sesje naukowe, najpierw do Warszawy, a potem do Poznania, gdzie w klubie „Orbita” na Osiedlu Kosmonautów spędziliśmy dwa pracowite dni słuchając wykładów naszych ludzi i zaproszonych gości. Wtedy to poznałem, na jednej z takich sesji, panią profesor Ewę Nowicką-Rusek, autorkę „Buntu i ucieczki”, książki którą bardzo ceniłem i z której czerpałem wiedzę na temat Tańca Duchów czy pejotyizmu. Z czasem sesje PRPI ewoluowały z kierunku wykładów i referatów (na jednej z nich zaprezentowałem referat na mało znany temat Indian Nikaragui) w kierunku sesji filmowej. Przyjeżdżaliśmy wówczas do Orbity i oglądaliśmy ściśnięci w niewielkiej salce film za filmem. Filmy były na kasetach VHS z miejscowych wypożyczalni, a my to wszystko oglądaliśmy na telewizorze. Nie pamiętam ile razy w życiu tym sposobem obejrzałem „Małego, wielkiego człowieka”. Magnesem jednak była nie tylko możliwość obejrzenia tego czy innego filmu co okazja do spotkania się w gronie ludzi spotykanych zazwyczaj tylko raz do roku, w czasie zlotu. Niestety formuła filmowa tych spotkań też się przeżyła i grupa poznańska zaprzestała ich organizowania.

Do miłych wspomnień z tamtych lat zaliczam też poznanie naszych rodzimych pisarzy. Będąc na wycieczce szkolnej w Chełmie zaszedłem do mieszkania Longina Jana Okonia. Pamiętam jego zaskoczenie kiedy stanąłem w jego drzwiach w ręku trzymając „Tecumseha” jego autorstwa z prośbą o autograf. Miło sobie porozmawialiśmy, oczywiście o Indianach. Podobnie udało mi się poznać Alfreda Szklarskiego, u którego w domu w Katowicach spędziłem miłe chwile i widziałem na własne oczy jego słynny pisarski gabinet. Pan Alfred bardzo dziękował mi za chwalenie jego przypisów w książkach, bo nosił się z zamiarem by usunąć je w swych powieściach, a ja byłem dla niego dowodem, że ktoś te przypisy czyta. W przypisach zawsze znajdowałem mnóstwo konkretnych informacji i za nie najbardziej ceniłem „Złoto Gór Czarnych”. Cieszę się, że udało mi się spotkać Alfreda Szklarskiego jeszcze za życia, podobnie jak udało się mi w ostatnim momencie odwiedzić Puszczykówo i otrzymać autografy od Arkadego i Marka Fiedlerów w „Indiankim Napoleonie Gór Skalistych” ich autorstwa. Dziś już nie ma wśród żyjących Sat-Okha, na którego pogrzebie byłem w 2003 r., Alfreda Szklarskiego, Arkadego Fiedlera. Longina Jana Okonia czy Leszka Michalika. Żałuję do dziś tylko, że nie mogłem spotkać na swej drodze Indiańskiej Babci, Stefanii Antoniewicz. Umarła ona w 1982 r., zanim ja trafiłem do Ruchu. Z tego to też powodu zorganizowałem w 2003 r. sesję naukową w Muzeum Etnograficznym w Warszawie poświęconą jej pamięci. Rezultatem tego wydarzenia jest książka, zbiór referatów „Odrębna rzeczywistość”, do której odsyłam zainteresowanych.

Wracając do mych najwcześniejszych zlotów chciałem wspomnieć mój szósty zlot w 1990 r. na Trzoncu, w Beskidzie koło Porąbki. To był dziwny rok, do końca nie było wiadomo gdzie będzie zlot. Jak się potem okazało zostały zorganizowane trzy spotkania, każde pretendujące do miana ogólnopolskiego zlotu. W efekcie każde z tych spotkań było bardzo kameralne. Do mnie trafiła informacja o tym, że zlot będzie miał miejsce na terenie gospodarstwa Piotra Spólnego. Był to chyba do tej pory jedyny zlot w całej historii zorganizowany w górach. Pamiętam, że droga na teren zlotu wiodła jakimś szlakiem i pot zalewał mi oczy gdy wchodziłem na górę z pełnym plecakiem i namiotem. Chyba nigdy nie musiałem tak często przystawać, żeby zrobić sobie odpoczynek jak w drodze na ten zlot. A na zlocie okazało się, że się na nim... nic nie działo. Absolutnie nic, kompletna nuda. Pod tym względem był to bardzo nieciekawo zlot, pomijając fakt zaglądania do mego namiotu przez otwór wyjściowy miejscowych owiec. Wykorzystałem jednak dobrze ten czas chodząc po górach i zwiedzając okoliczne miejscowości. W ogóle to muszę powiedzieć, że zloty dawały mi rzadką okazję bycia w miejscach do których inaczej by nie pojechał i spotkania ludzi, których inaczej bym nie spotkał. Przykła-

dowo podczas zlotu w Królowym Moście w 1988 r. pojechaliśmy w kilka osób zwiedzić meczet polskich Tatarów w Kruszyńskich. Wtedy też, innego dnia, wracałem w skwarze do obozu. Miałem jeszcze spory kawał drogi, a pić chciało mi się niemiłosiernie. Zaszedłem więc do jakiejś pobliskiej chałupiny z prośbą o szklankę wody. Babcia, która tam mieszkała zaprosiła mnie do domu i uraczyła nie tylko herbatą, ale całym porządnym posiłkiem, no bo jak to „nie ugościć strudzonego wędrowca”. Na zlocie w Trzoncu miałem w górach podobne miłe zdarzenie, choć aż tak dobrze mnie nie nakarmiono. Myślę, że dzięki tym wyjazdom można było poznać całkiem sporo Polski i zobaczyć kraj, jakiego już z pewnością dzisiaj nie ma.

Być może gdzieś od 1993 r. na zlotach zaczął pojawiać się jakiś samochód dostawczy, z którego prowadzono sprzedaż chleba i innych podstawowych produktów. Był to jakby załazek późniejszych „faktorii”. Do tego czasu chcąc coś kupić musieli iść do sklepu w najbliższej wsi, który to przeżywał w swej historii chyba największe obłożenie klientami, przynosząc też rekordowe zyski. Ten ogromny utarg miejscowy GS zawdzięczał w dużej mierze sprzedaży piwa, które to zawsze cieszyło się ogromnym powodzeniem. Niestety wiązało się to z niemiłymi sytuacjami.

Ktoś kiedyś wpadł więc na pomysł, by sprzedaż artykułów spożywczych przenieść na teren zlotu. W założeniu miało być wygodniej dla zlotowiczów, a dla organizatora stanowiło dodatkowy zysk, gdyż ludzie przestali wędrować do okolicznych sklepów. W Orłowie w 1997 r. sytuacja momentami zaczęła wymykać się spod kontroli i pójście do faktorii w godzinach późno nocnych mogło okazać się niebezpieczne. Ktoś kiedyś wpadł też na dobry pomysł i powołano policję obozową. Choć próbowała ona robić co w jej mocy to problem nadużywania alkoholu zaczął stanowić problem na zlotach.

Od XVII zlotu przez pięć kolejnych lat na zloty przyjeżdżałem z bratem, zajmując się też nieco handlem na słynnej alejce handlowej. Przez kilka lat sprzedawałem na zlotach najróżniejszą muzykę indiańską, wówczas na kasetach magnetofonowych. Z kolei od 1998 r. przez pięć kolejnych lat przyjeżdżałem na zloty ze swoją żoną. Te zloty wciąż żyją w mojej pamięci z powodu osób, które mi towarzyszyły i najprzeróżniejszych miłych zdarzeń.

Niezwykłe przeżycie mieliśmy z bratem podczas zlotu w 1997 r. w Orłowie na Mazurach. Otóż w pobliżu obozu był ośrodek hodowli żubrów, gdzie na wolności w puszczy żyło ich wówczas kilkadziesiąt sztuk. Ktoś rzucił wtedy pomysł, by udać się na „polowanie na bizony”. Kilkunastu wojowników ubranych w indiańskie bluzy i leginsy udało się na wyprawę. Skradaliśmy się lasami, przedzieraliśmy się przez krzaki, czołgaliśmy się próbując być bezszelestni. W końcu znaleźliśmy pasące się stado „bizonów” na leśnej łące. Leżąc patrzyliśmy oniemiała na ten cud natury. Nasze „polowanie” zakończyło się pełnym sukcesem.

XXVI Zlot w Lubiatowie koło Koszalina w 2002 r. był dla mnie przełomowy. W jednym z magazynów opublikowano moje zdjęcie z tego zlotu przedstawiające obóz o świcie, z unoszącymi się mgłami, za co otrzymałem I miejsce w konkursie fotograficznym, ale też po powrocie do domu powiedziałem „dość”. Postanowiłem, że więcej nie będę jeździć na imprezy na których było coraz większe pijaństwo, a faktoria główną atrakcją zlotu. Inaczej wyglądał mój pierwszy zlot 17 lat temu. Wiedziałem, że tamten świat nie wróci, że trzeba akceptować zmiany, ale według mnie poszło to w niewłaściwym kierunku. Następnego lata pojechaliśmy z żoną już na „takini”, spotkanie tzw. tradycjonalistów, gdzie nie było żadnego namiotu, a każdy uczestnik był zobowiązany do chodzenia w stroju indiańskim i mieszkania w tipi. Od dłuższego czasu miałem już swoje własne tipi i strój. Oczywiście obowiązywała i była przestrzegana pełna prohibicja na terenie obozu. Uczestnikami tych spotkań byli ludzie wywodzący się z PRPI, ale już pozostający

poza głównym nurtem wydarzeń zlotowych. Bardzo przyjaźniłem się w tamtym czasie z Sową i jego rodziną.

Równolegle do uczestniczenia w zlotach i życiu PRPI brałem udział przez kilka lat w seminariach Leszka Michalika w Uśnicach, z którym nawiązałem serdeczne więzi. Minimum dwa, trzy razy w roku jeździłem do Uśnic gdzie zgłębiałem duchowość indiańską. Do niezapomnianych przeżyć należały wielogodzinne szafasy pary, które zawsze towarzyszyły naszym spotkaniom. Zaangażowałem się też w pisanie do wydawanego przez Leszka i jego Stowarzyszenie Żółwi magazynu „Kayas ochi”. Przez kilka lat byłem częstym gościem w Sztumie, a dzięki Leszkowi mogłem też zapoznawać się z jego bogatym księgozbiorem dotyczącym szeroko pojętej problematyki indiańskiej. Był to zbiór chyba bogatszy od niejednego zbioru uniwersyteckiego poświęconego tej tematyce. Oczywiście w warunkach polskich.

Rezultatem moich zainteresowań współczesnością indiańską, studiów historycznych na UMK i niezliczonych lektur książek sprowadzanych z USA i pożyczanych od przyjaciół była książka „Współcześni Indianie Stanów Zjednoczonych” która napisałem i wydałem w 1998 r.

Do jednych z najbardziej znaczących wydarzeń w działalności Ruchu zaliczam udział w IX Festynie Archeologicznym w Biskupinie we wrześniu 2003 r. Urządziliśmy tam jako ludzie z Ruchu wioskę indiańską, każdy z nas stał przy jednym z współotwartych tipi i snuł opowieści oraz odpowiadał na pytania turystów. Wraz z nami było kilkoro Indian, rodzina z plemienia Czarnych Stóp i jeden Lakota, którzy byli główną atrakcją festynu. Najpiękniejszy jednak czas był poza godzinami otwarcia muzeum. Rano organizowaliśmy Szałas Potu, a popołudniu osada w Biskupinie należała do nas. W promieniach zachodzącego słońca wspólnie z rycerzami pływalimy łodzią po jeziorze podziwiając z tej niecodziennej perspektywy całą średniowieczną osadę i słuchając najróżniejszych opowieści. Wieczorem zaś były organizowane zebrania przy wspólnym stole pełne gwaru, śpiewu, rozmów i dobrego jedzenia.

Wtedy poczułem się jakbym był w rezerwacie indiańskim, a nie w Polsce. W rezerwacie w którym dzień zaczynał się o świcie od ceremonii Świętej Fajki, w którym czas wypełniała praca czy to przy wyprawianiu skór, czy przy suszeniu mięsa, czy przy tańcach lub snuciu opowieści o indiańskim życiu czy zwyczajach, i w którym dzień kończył się rozmowami o tradycjach. My słuchaliśmy Indian, oni nas, chcieli na przykład byśmy uczyli ich modlitwy „Ojciec nasz” po polsku. W czasie obrzędów czy to Szałasu Potu, Fajki czy też pierwszego w Polsce ślubu indiańskiego w tradycji Czarnych Stóp wielokrotnie musiałem przewartościowywać swe sądy. Okazywało się, że moje i innych poglądy jak powinno wyglądać to czy tamto były mało warte. Jestem do dziś wdzięczny ś.p. Olkowi Danylukowi dzięki któremu to spotkanie mogło dojść do skutku i który zorganizował indiańską część festynu w Biskupinie, że zaprosił mnie do swego zespołu.

Kiedy sięgam pamięcią do tamtych lat to przez myśl przemykają mi setki innych mniejszych i większych spotkań, które złożyły się na to wszystko co znaczy Ruch dla mnie dzisiaj. Spotkania z Jamesem Robideau w Warszawie i Kapkazach, fiesty w Gołuchowie, sesja z Jackiem Piwowskim, koncert Eagle & Hawk w Pile, liczne wystawy rękodzieła na różnych zamkach polskich czy rodzące się pow-wow. Było tego bardzo dużo. Całości dopełniają moje prywatne wypadki, powtarzane wiele razy w ciągu roku, pod tipi do leżącego nieopodal Torunia Osieka i na Zieloną Wyspę na Wiśle. Tych wspólnych dni spędzonych przede wszystkim z Maciejem Janowskim nigdy nie zapomnę.

Mój indianistyczny rozdział życia zamknął się dość wyraźną datą. W 2005 r. wyjechaliśmy z żoną z Polski na stałe do Wielkiej Brytanii. Ostatnim akordem tego okresu było moje osobiste pożegnanie jakim była krótka wizyta na zlocie pod Gniewem tego lata, by

spędzić wśród tipi może ostatnie dwie godziny tego rozdziału życia. Krótko potem wyjechaliśmy z Polski.

W Anglii jeszcze w 2006 r. pojechaliśmy na doroczne angielskie powwow na Bush Farm Bison Centre, a potem przez całe lata nie miałem żadnego kontaktu z światem indianistycznym odkąd przenieśliśmy się już do Szkocji.

Kiedy w 2014 r. zaplanowaliśmy objazdowe wakacje w Anglii postanowiłem, że zajedziemy też na sierpniowe powwow w Milton Abbas w hrabstwie Dorset organizowane przez brytyjskich indianistów. Nie przypuszczałem jak bardzo ta impreza spodoba się mojej córce Weronice. Już poprzedniego roku odwiedziliśmy wioskę indiańską Jantar Leszka Michalika, a nieco później rozstawiłem swoje stare tipi w ogrodzie teściów widząc zachwyt w oczach córki. Teraz to moja córka zaczęła mi wiercić dziurę w brzuchu, że chciałyby pojechać na „powwow do Polski”. Ponieważ planowaliśmy wyjazd do Polski w sierpniu 2015 r. sądziłem, że żadnego powwow już nie zobaczymy. Znalazłem jednak w internecie informację, że w sierpniu, w Uniejowie jest organizowana impreza pod nazwą „Indiańskie Lato – Święto Alei im. Sat-Okha”. Nic wcześniej nie słyszałem o tej imprezie.

Pojechaliśmy tam, ja z pewnymi obawami jak to teraz jest na imprezie PRPI po tylu latach mojej nieobecności. Ku swojemu zdumieniu rzeczywistość przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Zostaliśmy tam tak niezmiernie ciepło przyjęci przez Ranoresa Wszółka i jego rodzinę, że nie mogliśmy się nadziwić. To samo spotkało nas ze strony Darka Lipeckiego z Torunia, mego dawnego kompana, który kiedyś desperacko jeździł ze mną po wszystkich wypożyczalniach kaset wideo w mieście, by znaleźć jakiś ciężko dostępny film o Indianach, a dziś prowadzącego zespół Huu-Ska Luta. Samo „Święto Alei Sat-Okha” było cudownymi dwoma dniami barwnego i profesjonalnego powwow oraz dobrej zabawy dla dzieciaków. Po takim powrocie długo nie zastanawialiśmy się i latem 2016 r. zjawiliśmy się ponownie w Uniejowie, tym razem na 40 zlocie PRPI. Okazało się, że na zlocie tym zjawili się wiele osób z dawnych czasów. Nie było mnie 14 lat na zlotach polskich indianistów i wielu osób nie mogłem w ogóle poznać. Z przykrością dowiadywałem się też, że niektórzy odeszli już na zawsze. Niemniej zlot ten był pełen wielu wartościowych spotkań i przeżyć. Cieszę się, że mogłem po latach uczestniczyć w tak udanym wydarzeniu jakie miało miejsce w Uniejowie.

Przyjechaliśmy również na zlot w 2017 r. do Konigortu, tam gdzie obóz indianistów był przepięknie położony w zakolu Brdy, otoczony zewsząd lasami. Kilka dni po naszym wyjeździe tereny te nawiedził straszny huragan, który połamał większość drzew, powodując tym wiele szkód, a nawet ofiary w ludziach...

Planowałem znowu przyjechać na zlot w 2020 r. i nawet przyjechałem wtedy samochodem do Polski, na miejscu dowiadując się, że z powodu „pandemii” zlot został odwołany... W ostatnim momencie dowiedziałem się pocztą pantoflową, że nieformalny zlot odbywa się w tym samym miejscu co trzy lata temu. Zdażyłem go przynajmniej odwiedzić i spotkać kilka osób, zlot się bowiem już kończył. Nie mogłem poznać tego miejsca. Trzy lata po huraganie kikuty drzew wciąż szpecili okolicę.

Zainteresowanie Indianami i udział w Polskim Ruchu Przyjaciół Indian są ważną częścią mnie samego, mojej historii życia. Do dziś od czasu do czasu nucę sobie nieformalny hymn Ruchu z samych jego początków „A gdy znów zapłoną barykady w Wounded Knee, ona będzie na czele, przy niej my”. Mimo dużej odległości i wielu lat nieobecności czuję się wciąż częścią Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, a moje zainteresowanie kulturą i historią indiańską trwa mimo upływających lat.

Arkadiusz J. Kilanowski

Dawnych wspomnień czar...

Kiedy zaczynałem swoją przygodę z Indianami, nie przypuszczałem, że w przyszłości stanie się ona jedną z najważniejszych części mego życia. Moje zainteresowanie tematyką indiańską zrodziło się z popularnych w Polsce lektur Maya, Coopera, Curwooda, Londona, Grey Owla oraz rodzimych autorów: Szklarskich, Fiedlera, Wernica, Okonia, Woroszyńskiego, Bahdaja, Osterloffa, Szczepańskich czy Stanisława Supłatowicza (Sat-Okha). Z tych przygodowych i podróżniczych książek wyłaniał się wyidealizowany, ale bliski mi wówczas obraz wojowników walczących w słusznej sprawie. Pociągał złudny powiew wolności zaklęty w Indianach prerii oraz afirmacja cech przypisywanych wojownikom: waleczności, uczciwości, mądrości, odwagi i obrony słabszych. Wielu szukało tych cech i wartości angażując się w ruch indianistyczny w Polsce wdzięcznie nazywany Polskim Ruchem Przyjaciół Indian (PRPI), ale kto dzisiaj o tym pamięta? Z biegiem lat moje spojrzenie na kultury indiańskie dojrzewało. Z dawnych czasów pozostały wspomnienia książek oraz fotografia dziecka pozującego na zapatrzonego w dal „Indianina”, jedyny namacalny dowód dziecięcych fascynacji indiańską tematyką.

Na poważną ścieżkę indianizmu wszedłem ponad ćwierć wieku temu. Odkryłem, że za romantycznymi wyobrazeniami kryje się znacznie bogatsza i złożona rzeczywistość. Pozwoliło to na głębsze zrozumienie historii, różnorodności i współczesnych problemów tubylczej Ameryki, mogłem też doświadczać poczucia przynależności i przekonania, że uczestniczę w czymś ważnym. Pomimo tego nie przypuszczałem, że przełom tysiącleci rozpocznie najważniejszy etap mego życia, a młodzieńcze zainteresowania przerodzą się w wieloletnią pasję, źródło przyjaźni, a ostatecznie w pracę naukową. Polski ruch indianistyczny rodził się w realiach braków i niedogodności, jednak te skromne początki były pełne entuzjazmu i nadziei. Choć dziś wydają się one naiwne, stanowiły naturalny etap dojrzewania wspólnoty. To właśnie entuzjazm przyciągał nowych ludzi, budował przyjaźnie i tworzył poczucie wspólnoty. Powstało środowisko, które z czasem zaczęło stawiać sobie ambitniejsze cele. W świecie skłaniającym do pośpiechu i powierzchowności, spotkania - nie tylko zlotowe, ale i powwow - przypominały o znaczeniu uważności oraz o szacunku dla tradycji, przyrody i drugiego człowieka.

Wspólne indianistyczne inicjatywy, ale też długie i kameralne rozmowy przy ogniskach tworzyły środowisko, które dla wielu stało się czymś więcej niż tylko zwykłą grupą zainteresowań. Była to wspólnota ludzi poszukujących wiedzy, inspiracji i wzajemnego zrozumienia. Dojrzewaliśmy indywidualnie i jako wspólnota, a miejsce dawnych marzeń zajmowała coraz częściej odpowiedzialność za rzetelność przekazu, szacunek dla innych kultur i świadomość, że prawdziwe poznanie wymaga znacznie więcej niż tylko dziecięcego zachwyty. Nie oznaczało to utraty pasji, która pozostała, ale wzbogacaliśmy się doświadczeniem, większą wiedzą i głębszym zrozumieniem.

Ogromne znaczenie miało otwarcie na świat. Kontakty zagraniczne, początkowo rzadkie, stawały się coraz częstsze. Nawiązywaliśmy nowe znajomości i wymienialiśmy kolejne doświadczenia. Szczególnie ważne okazały się bezpośrednie kontakty z przedstawicielami tubylczych narodów Ameryki, którzy odwiedzali Europę. Niektórzy mieli to szczęście, że spotykali Indian w Polsce już w ubiegłym stuleciu (jak to okropnie brzmi!), na przykład na Euromeetingach czy podczas Świętego Biegu - Europa '90. To wtedy pojawili się u nas tak ważni i doświadczeni indiańscy działacze, jak Dennis Banks, Skyhawk, czy Frank Dreaver, ale mój czas jeszcze nie nadszedł.

Mnie los zetknął w Polsce z duchowym przywódcą Jamesem Robideau (Wichapi Wicasa), kuzynem Leonarda Peltiera. Jego wizyta w Kapłazach wiosną 2001 roku i poprowadzony przez niego szalas potu

wpłynęły na kierunek moich zainteresowań - przeszedłem od pasji do studiowania etnografii, historii i antropologii. Owocem nowych znajomości była wizyta Nawahów z grupy James Benally Family oraz rockowego zespołu Blackfire, których gościłem w swoim domu podczas koncertu w Bydgoszczy w 2007 roku. Niezapomnianym przeżyciem pozostały długie rozmowy, koncerty i wieczorny rejs po Brdzie, gdzie wspólnie słuchaliśmy szant. Miny Nawahów - bezcenne!

Przez lata obserwowałem, jak zmieniało się nasze środowisko. To, co kiedyś było wspólną fascynacją stosunkowo niewielkiej grupy osób, zaczęło rozwijać się w wielu kierunkach, a każdy próbował odnaleźć własną drogę i miejsce w ruchu. Jedni pojawiali się na chwilę, inni pozostawali na dłużej, a niektórzy odeszli na zawsze, pozostawiając po sobie wspomnienia. Nasze spojrzenie na kultury indiańskie zmieniało się, ale środowisko również ulegało metamorfozie. Naturalną konsekwencją tego procesu było stopniowe różnicowanie zainteresowań. Jednych pociągała historia, innych rekonstrukcja życia dawnych plemion. Dla niektórych ważne były tańce, dla kolejnych rękodzieło, muzyka, rekonstrukcja, etnografia, święte biegi, sztuka czy nawet języki. Pojawiały się grupy skupione wokół szczegółowych zainteresowań czy konkretnych regionów kulturowych. Ludzie zakładali rodziny, podejmowali nowe wyzwania, niektórzy łączyli czasami zainteresowania z działaniami merkantylnymi. Powstało wówczas wiele „indiańskich wiosek”, sposób na życie nie dla wszystkich udany. Coraz większą wagę przywiązywaliśmy do rzetelności, właściwych źródeł i ich autentyczności. Dorastaliśmy i stawaliśmy się bardziej świadomi, a nasza wiedza przestawała opierać się wyłącznie na utartej literaturze i równie wyświechtanych wyobrażeniach. Coraz częściej mogłem konfrontować poglądy z doświadczeniami ludzi, których kultury były przedmiotem moich zainteresowań. Pozwalało to lepiej zrozumieć zarówno bogactwo tych kultur, jak i odpowiedzialność związaną z ich poznawaniem i popularyzowaniem. Kolorowy, lecz mało prawdziwy świat Indian odpływał, kierując moje zainteresowania ku realnemu, z czasem naukowemu życiu. Rosła wiedza, pojawiały się nowe źródła informacji, łatwiejszy dostęp do zagranicznej literatury, a także możliwość bezpośredniego kontaktu z ludźmi posiadającymi większe doświadczenie. W miejsce ogólnej „fascynacji Indianami” pojawiało się zainteresowanie konkretnymi narodami, ich historią, tradycjami i współczesnym życiem. Niekiedy oznaczało to rozchodzenie się utartych ścieżek i oddalanie od siebie dawnych przyjaciół, były to konsekwencje zachodzących zmian.

Przełomem był 2008 rok, gdy po raz pierwszy wyjechałem do Stanów Zjednoczonych, aby (obok Marka Nowocienia) wziąć udział w drugim Najdłuższym Marszu Indian (Longest Walk 2). Ten pobyt w Kraju Indian głęboko poruszył struny moich emocji, a uczestnictwo w marszu okazało się poważnym doświadczeniem. To jedna z tych chwil, kiedy wiedza zdobywana przez lata w Polsce z książek, artykułów i rozmów nagle dotknęła rzeczywistości. To, co wcześniej znałem jedynie z opisów, nabrało realnych kształtów, twarzy, głosów i emocji. Na szlaku poznałem wówczas wielu Indian z różnych narodów, w tym Dennisa Banksa, człowieka znanego dotąd ze zdjęć. Brałem wraz z nim i innymi uczestnikami udział w licznych indiańskich ceremoniach. Długie, codzienne obcowanie z Indianami różnych plemion stało się katalizatorem zmiany w spojrzeniu na nich. Tam ogólne wyobrażenia z Polski zderzyły się z rzeczywistością: dostrzegłem, jak różne narody reprezentowali uczestnicy marszu, a międzyplemienne zaszłości historyczne mocno rzutowały na ich aktualne relacje. Poznałem też istotę pandianizmu. Codzienna obserwacja pozwoliła mi dostrzec cechy Indian, o których czytałem od lat. Nie istnieje żaden jeden „indiański charakter”, ale niektóre postawy były zadziwiająco bliskie temu, co wcześniej poznałem w literaturze, relacjach etnograficznych, dziennikach lub wspomnie-

niach. Uderzała godność starszego pokolenia, opanowanie elders oraz umiejętność bycia częścią wspólnoty bez potrzeby wyróżniania się. Z kolei młodzi, pełni zapału, ale też młodzieńczego gniewu gorączkowo szukali swojego miejsca w świecie, w którym tak trudno jest łączyć tradycję z wyzwaniem współczesności. Dowiedziałem się, jak młodzież niewiele wiedziała o historii własnych narodów, ale w zachowaniu młodych przeblyskiwały cienie dawnych wartości przekazywane przez pokolenia. Na przykład w zachowaniu szacunku wobec elders, co czasami osobiście odczuwałem, np. przepuszczany przez młodych z szacunkiem do przodu w kolejce po jedzenie. Jednocześnie pojąłem, że nie jestem wyłącznie obserwatorem.

Przez lata patrzyłem na kultury indiańskie oczami pasjonata, tymczasem tam, pośród ludzi będących spadkobiercami tubylczych tradycji, sam stałem się przedmiotem obserwacji. Okazało się, że wiele oczu śledziło również moje zachowanie i postawę. Nie czułem w tym wrogości ani nieufności, była to raczej uważna obserwacja człowieka, który przybył z daleka i uczestniczył w wydarzeniu mającym ogromne znaczenie dla lokalnej społeczności. Kwintesencją takiego postępowania była uroczystość zawieszenia pióra bielika na marszowym staffie. Przywiozłem je z Polski i nosiłem ze sobą, a ceremonii, która zaskoczyła mnie ostatniego dnia pobytu na marszu dokonał medicine man Nawahów, David. Zauważyłem, że poznawanie tubylczych kultur nie polega wyłącznie na zdobywaniu wiedzy, lecz również na gotowości przyjęcia ich perspektywy. Zamiast przeczytanych tekstów i historycznych opisów widziałem Indian, posiadających pamięć, godność i swój sposób patrzenia na świat. Doświadczenia zdobyte podczas Najdłuższego Marszu 2 pozwoliły mi nie tylko pokonywać słabości. Pozwoliły też zrozumieć zawiłości tak różnych od naszej tubylczych kultur, którymi się interesowaliśmy, weryfikować wcześniejsze wyobrażenia i lepiej rozumieć ich złożoność.

W kraju zaangażowałem się w organizację imprez indianistycznych, spotkań oraz wydarzeń popularyzujących wiedzę o indiańskich kulturach. Satysfakcję przyniosło mi zorganizowanie w 2011 roku XXXV Złotu Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian w Prosperowie. Rok później we wrześniu w Domu Kultury Modraczek w Bydgoszczy rozpocząłem comiesięczne spotkania z kulturami indiańskimi objęte wspólnym tytułem Indianie Ameryki Północnej. W tym czasie była to już jedyna w Polsce inicjatywa cyklicznych, stałych spotkań, która we wrześniu 2025 roku, po 13 latach trwania, przeszła do historii. W Bydgoszczy rozpocząłem również stały cykl spotkań w Bibliotece Głównej. Coroczne, jesienne spotkania prowadzone w ramach programu America@Your Library do dzisiaj cieszą się dużym powodzeniem. Ciekawym akcentem okazały się organizowane przeze mnie wieczory poezji autorów indiańskiego pochodzenia. Podczas spotkań starałem się prezentować nie tylko szerokie spektrum wiedzy o kulturach indiańskich, ale także wyjaśniać i prostować infantylne zazwyczaj stereotypy o Indianach. W 2012 roku przedsięwzięciem bez precedensu okazała się wizyta piosenkarki Joanne Shenandoah, którą zaprosiłem do Bydgoszczy na jedyny koncert w Polsce. Nikt wówczas nie mógł wiedzieć, że 22 listopada 2021 roku Irokezka odejdzie od nas na zawsze, koncert okazał się więc nie tylko fantastycznym, ale też historycznym wydarzeniem. Wraz z piosenkarką w Polsce pojawił się u mnie w domu jej mąż, Mohawk Doug George-Kanentiio, były redaktor czasopisma Akwesasne Notes, o którego znaczeniu nie muszę przypominać. Doug jest również współzałożycielem Native American Journalists Association i pełnił funkcję negocjatora Mohawków w sprawie ich roszczeń do ziemi. Podczas wspomnianych spotkań przekazywałem również własne doświadczenia zdobyte podczas kolejnych wyjazdów do USA.

Przeżycia wyniesione z wielokrotnych pobytów w USA otwierały przede mną nowe możliwości. Wielomiesięczne podróże po Stanach Zjednoczonych, w tym pobyty w indiańskich rezerwach, muzeach czy innych miejscach związanych z tubylczymi kulturami i ich historią nie były wyłącznie indywidualnym przedsięwzięciem. Wprawdzie wymagały wytrwałości fizycznej, ale na swojej drodze

spotykałem również osoby gotowe służyć pomocą i wsparciem. To dzięki nim mogłem zobaczyć i zrozumieć więcej oraz dotrzeć do miejsc, które w innych okolicznościach pozostałyby poza moim zasięgiem. Nie sposób więc pominąć ludzi, bez życzliwości których wiele z tych doświadczeń nie byłoby możliwych. Duże znaczenie miały kontakty z Polakami, którzy zamieszkiwali w Ameryce. Dzięki takim osobom jak Andrzej Wala, czy Ewa i Tomasz Dzurak łatwiej było prowadzić naukowe badania i dotrzeć do trudno dostępnych miejsc. Niezapomniane pobyty w rezerwie Czarnych Stóp w Montanie zapewnił mi Bartosz Stranz i Andrzej Gussman. Wszyscy dzielili się swoim doświadczeniem, wskazywali osoby i miejsca warte poznania, pomagali w organizacji spotkań i oferowali gościnę, co pozwalało nawiązać nowe znajomości i lepiej rozumieć lokalne realia. Nieodłączną częścią tej drogi były spotkania z Indianami i amerykańskimi badaczami, historykami, muzealnikami, przedstawicielami znanych w USA towarzystw historycznych. Wszystko to powodowało konieczność odnajdywania się w nowych sytuacjach i nabieranie doświadczeń, których nie można znaleźć w książkach i archiwach. Doświadczenia zdobyte podczas bezpośrednich relacji stały się dla mnie impulsem do nawiązywania dalszych kontaktów z przedstawicielami społeczności tubylczych oraz współpracy z etnologami, antropologami i muzealnikami zarówno w Polsce jak i w USA. Wielu z tych ludzi pozostawiło trwałe ślady w moich wspomnieniach, ale także w całej drodze, którą przeszedłem jako podróżnik i badacz.

Obecność w miejscach związanych z tubylczymi kulturami przynosiła także materialne świadectwa tych kontaktów. Gromadziłem indiańskie artefakty, rękodzieło, przedmioty codziennego użytku, które pozwalały lepiej zrozumieć bogactwo i różnorodność poznawanych kultur. Z czasem skromna kolekcja nabrała wartości edukacyjnej, a gdy pojawiła się możliwość prezentowania zbiorów publiczności, narodziła się działalność wystawiennicza. Wkrótce pojawiły się autorskie projekty, w tym wystawa Śladami wyprawy Lewisa i Clarka na Zachód Ameryki prezentowana w wielu miejscach, w tym w Bydgoszczy i w Muzeum Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wiele z tych projektów miało wsparcie znakomitych instytucji, m.in. Miejskiego Centrum Kultury w Bydgoszczy, Ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie czy Konsulatu Generalnego USA w Krakowie. Wystawy stały się kolejnym sposobem dzielenia się wiedzą i doświadczeniami zdobytymi podczas badań oraz podróży. Przedmioty opowiadały historie równie sugestywnie jak książki. Każdy eksponat był świadectwem spotkania, podróży lub rozmowy, punktem wyjścia do opowieści o ludziach, których tradycje pozostają przedmiotem zainteresowań ludzi z ruchu. Wystawy pozwalały też docierać do osób, które wcześniej nigdy nie miały styczności z tematyką indiańską.

Działalność organizacyjna miała też inny ważny wymiar. Zmuszała do pogłębiania wiedzy i sięgania do coraz bardziej specjalistycznych źródeł. Przygotowanie wykładu czy prezentacji wymagało odpowiedzialności za przekazywane treści. Dzięki temu zainteresowanie przerodzone w pasję nabierało cech uporządkowanej pracy poznawczej. Zacząłem rozwijać swoje zainteresowania naukowe. Opracowania (głównie amerykańskie) z zakresu etnologii, antropologii kulturowej, historii i archeologii obu Ameryk pozwalały nie tylko na pogłębianie wiedzy o samej historii Indian, ale również o procesach przemian ich kultur, relacjach międzykulturowych oraz sposobach, w jakich przedstawiano je w literaturze i kulturze popularnej. Pozwalało to weryfikować wcześniejsze wyobrażenia i lepiej rozumieć złożoność indiańskich kultur. Dzięki temu uczyłem się patrzeć nie tylko przez pryzmat fascynacji, ale również z perspektywy badawczej, wymagającej krytycznego myślenia, dystansu do pozyskiwanych źródeł i intelektualnej uczciwości. Konsekwencją rozwijających się zainteresowań naukowych było podjęcie badań akademickich. To, co początkowo stanowiło fascynację kulturami indiańskimi oraz uczestnictwo w ruchu indianistycznym przekształciło się w świadomie obrany kierunek pracy naukowej. Decyzja o podjęciu studiów etnologiczno-historycznych była więc nie tyle zmianą kierunku, ile kolejnym etapem tej samej drogi. W Uniwersytecie Mikołaja Kopernika rozpoczą-

łem prace nad doktoratem, dzięki czemu mogłem porządkować wiedzę, rozwijać umiejętności badawcze i spojrzeć na zagadnienia dotyczące kultur indiańskich z szerszej perspektywy. To właśnie one sprawiły, że pasja i nauka mogły spotkać się w jednym miejscu, wzajemnie się uzupełniając. Była to droga pełna spotkań i podróży, doświadczeń i nieustannego zdobywania wiedzy, okres pracy wymagający krytycznego myślenia i konsekwencji, ale przynoszący ogromne zadowolenie. Potwierdziło się, że pasja może stać się źródłem rzetelnej wiedzy i wartościowych badań. Szczególną satysfakcję daje mi świadomość, że zainteresowania, które zrodziły się z dawnych marzeń i lektur, doprowadziły mnie do miejsca, w którym mogłem i dalej mogę wносить własny wkład w poznanie i popularyzację kultur rdzennych mieszkańców Ameryki. Dzięki temu pojawiły się wykłady na uczelniach, publikacje naukowe, popularnonaukowe i artykuły, które wypełniają lukę w polskiej historiografii na temat milowych wydarzeń w historii Indian Ameryki Północnej.

Aktywność naukowa skłoniła mnie do zaangażowania instytucjonalnego. W 2011 roku dołączyłem do Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Etnograficznego (PAES/PATE), w którym od 2019 roku pełnię funkcję dyrektora naukowego. Zostałem członkiem Narodowego Muzeum Indian Amerykańskich w Waszyngtonie (NMAI), zostałem też przewodniczącym zarządu Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian. Z mojego punktu widzenia obecność w tych jednostkach nigdy nie stanowiła przeciwwagi dla działalności w szeroko pojętym ruchu indianistycznym, wręcz wpisywała się w jej bogate spektrum. Przez lata działalności poznałem wielu ludzi, z którymi połączyły mnie wspólne zainteresowania, będące fundamentem podróży, wystaw, konferencji naukowych i przede wszystkim niezliczonych rozmów. Wiele rozmów i dyskusji miało miejsce przy ognisku, a ogień, niszczący żywioł, stawał się teraz ich spoiwem. Niektóre z tych znajomości przerodziły się potem w wieloletnie przyjaźnie, trwające mimo upływu czasu, zmian życiowych i różnic poglądów.

Pierwsza dekada nowego tysiąclecia była czasem wielkich nadziei, ale wspomnienia z tamtego okresu przypominają nie tylko dobre chwile. Ludzie z ruchu rozwijali odmienne zainteresowania i zaczęli specjalizować się w różnych dziedzinach. To prowadziło do tworzenia odrębnych grup, a to co początkowo było jedną wspólną pasją, zaczęło rozgałęziać się na wiele ścieżek. Niektórzy przywiązywali wagę do historycznej i etnograficznej wierności, inni podkreślali znaczenie osobistych przeżyć, czy swobody interpretacji. Były to naturalne procesy dojrzewania i wyboru dróg życiowych. Dyskutowano o kierunkach rozwoju środowisk, o zasadach organizacji zlotów i o tym, jakie wartości ruch indianistyczny powinien reprezentować. Różne drogi, które wybieraliśmy mogły być więc oznaką dojrzewania środowiska indianistycznego, ale wraz z rozwojem ruchu pojawiały się różnice zdań i konflikty. Być może wynikały one z silnych emocji, zaangażowania i poczucia, że uczestniczy się w czymś ważnym. Jedni postrzegali działalność w ruchu przede wszystkim jako formę realizacji osobistych zainteresowań, inni jako pracę edukacyjną, naukową lub społeczną. Pojawiały się odmienne opinie dotyczące organizacji zlotów, kierunków rozwoju środowiska czy autentyczności i sposobów prezentowania kultur indiańskich. Prowadziło to do coraz większych nieporozumień, potem sporów, szczególnie gdy w grę wchodziły ambicje liderów i animatorów środowiska, silne przekonania lub odpowiedzialność za wspólne przedsięwzięcia. Centralnym miejscem, gdzie spotykały się osoby reprezentujące różne doświadczenia i wizje ruchu okazały się zloty PRPI, ale było to również widoczne przy okazji innych cyklicznych spotkań, które z czasem wytraciły swój impet. Tam rodziły się przyjaźnie, ale też ujawniały różnice zdań. Dla wielu uczestników ruch był częścią ich tożsamości, nic więc dziwnego, że dyskusje bywały gorące, a spory przeżywane osobiście. Kiedy sięgnąć do tekstów znakomitego kwartalnika "Tawacin" (jaka szkoda, że już go nie ma), obok wartościowych artykułów ukazywały się także głosy czytelników mówiące o słabej kondycji ruchu i jego rozłamach. Jak w soczewce skupiało się to wokół istoty corocznego zlotu. Jak ujął to sarkastycznie, ale

trafnie jeden z czytelników "Tawacinu" w 2001 roku, „przyjaciele Indian spierali się o to, który z nich posiada jedyną licencję na to, jak być prawdziwym przyjacielem Indian". Podczas Najdłuższego Marszu miałem okazję uczestniczyć w przygotowywaniu protestu mieszkańców rezerwatu Dakotów Santee w Dakocie Południowej przeciw budowie dużej fermy świń w rezerwacie. Pomagaliśmy przygotowywać transparenty protestacyjne. Wśród tablic o społecznej, politycznej i ekologicznej treści wyróżniała się niewielka tabliczka ze znamennym napisem: „Tutejszy problem polega na tym, że mamy za dużo wodzów, a za mało Indian". Czy to czegoś nam nie przypomina?

Dzisiaj trudno powiedzieć, którą przebiegała główna linia sporu (o ile w ogóle można było ją nakreślić), ale dotyczył on wielu różnych kwestii. Czasami padały słowa, które nigdy nie powinny paść, a nieuzasadnione spory prowadziły do równie nietrafnych interpretacji i zbędnej krytyki, czego echo zupełnie niepotrzebnie pobrzmiwa także do dzisiaj. Konflikty zmuszały jednak do refleksji, weryfikacji poglądów i poszukiwania własnej drogi działania. Z biegiem czasu patrzę na te wydarzenia z dużym dystansem. Największą wartością ruchu indianistycznego byli i pozostają ludzie, bowiem wzajemne, pozytywne relacje dawały wsparcie i inspirację. W ostatecznym rozrachunku to te doświadczenia współtworzyły historię ruchu oraz historię ludzi, którzy przez lata byli jego częścią. Przed nami L Złot Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, a ja patrzę na papierowy symbol XXV zlotu w Ujściu z 2001 roku. Na niewielkim, pożółkłym kartoniku widnieje postać Russella Mearsa, znanego indiańskiego działacza politycznego i społecznego. Był to ostatni wizualny akord historycznej krucjaty polskich indianistów. Od tego czasu na wszelkiego rodzaju plakietkach złotych i powwow widnieją już jedynie panindiańskie wzory w znanych czterech kolorach, widoczny element zachodzących zmian.

Od czasu pierwszych spotkań indianistycznych i zlotów świat zmienił się bardziej, niż mogliśmy sobie wyobrazić. Łatwość podróżowania, rozwój internetu, a w ślad za tym dostęp do informacji sprawiły, że wiedza, której kiedyś poszukiwaliśmy miesiącami w bibliotekach lub zdobywaliśmy dzięki prywatnym kontaktom, dziś jest na wyciągnięcie ręki. Z jednej strony otworzyło to możliwości poznawania obcych kultur, z drugiej postawiło przed ruchem indianistycznym nowe wyzwania. Dawniej indianizm był często jedynym oknem na inny świat, dziś młodzi ludzie mają świat w telefonie. To oznacza mniej tajemnicy i romantyzmu, ale większe możliwości poznania współczesnych kultur indiańskich. Obecnie społeczności indiańskie same opowiadają o swojej historii, kulturze i problemach za pośrednictwem mediów, publikacji oraz internetu, ale od odbiorców wymaga to większej wiedzy, uwagi i odpowiedzialności. Dawne wyobrażenia, stereotypy i uproszczenia ustępują miejsca złożonemu obrazowi współczesnego życia tubylczych narodów Ameryki. Charakter samego ruchu ulega zmianie. Dla starszego pokolenia indianistów był sposobem poszukiwania wolności, przygody i kontaktu z naturą. Dla młodszych może oznaczać zainteresowanie ochroną przyrody i dziedzictwa kulturowego lub problemami współczesnych społeczności indiańskich, co nie musi oznaczać osłabienia ruchu, lecz ewolucję.

Wyzwaniem staje się zmiana. Jest coraz mniej czasu na wielodniowe spotkania czy działalność społeczną. Widać to na zlotach, gdzie główna fala obecności przypada na pierwszy weekend, a potem gwałtownie maleje. Nowe technologie umożliwiają utrzymywanie kontaktów i współpracę na skalę, która dawniej była niemożliwa. Przyszłość ruchu będzie więc zależała od umiejętności połączenia tradycyjnych form kontaktów z możliwościami, jakie daje współczesny świat. Fundamentem ruchu indianistycznego były ciekawość świata, szacunek dla innych kultur, chęć poznawania historii oraz przekonanie, że spotkanie z drugim człowiekiem może wzbogacić nasze życie. Teraz pozostaje nadzieja, że chociaż formy działalności mogą się zmieniać, wartości, które przyciągały kiedyś ludzi do ruchu indianistycznego, pozostaną aktualne również w przyszłości.

Adam Piekarski

Możemy być sobą

Wreszcie wychodzisz z gęstego lasu i masz przed sobą ten widok. Już z daleka wiódł leśną drogą głos bębna, nawołujący na spotkanie. Teraz doszedłeś do polany, na której, z gęstego lasu, po przejściu kilku ładnych kilometrów, z plecakiem ważącym wiele, wiele kilogramów (bo trzeba było wziąć sprzęt obozowy i jeszcze namiot), widzisz obóz tipi. Stoją w kręgu, z niektórych tipi leniwie unosi się dym. I w tym momencie nie zastanawiasz się już ani przez chwilę, czy warto iść te kilometry, kierując się ścieżką oznaczoną co jakiś czas czerwonymi wstążkami. Do obozowiska, jeszcze bez samochodów, bez komórek, bez wszędziebylskiego dostępu do sieci, mediów; z przewieszonym przez szyję analogowym, ciężkim aparatem fotograficznym.

Dla tej pasji, tych ludzi, chwil, obrazów, dźwięków, zapachów warto przejść czasem o wiele dłuższą i trudniejszą drogę. Wyjść poza strefę komfortu, poza codzienność, utarte schematy. Zmierzyć się z brakiem akceptacji w codzienności, z przeciwnościami losu. Mając za wzór ICH, ich wartości, sposób życia, wierność przekonaniom. Niejednokrotnie zastanawiałeś się, co takiego jest, co tak przyciąga... Kiedy po latach, w końcu spotkałeś, zrozumiawszy odrobinę więcej. Podejście do spraw ważnych, ceremonii – gdzie wszyscy zatrzymują się patrząc w jednym kierunku podziwiając szybującego nad nami bociana. Kiedy indziej, kiedy przyjacielowi stała się krzywda, widzisz ich troskę, pomimo iż dopiero się poznaliście – oni całym sercem was wspierają. Zatrzymują się na poboczu drogi, żeby zebrać z jezdni martwe zwierzę, odkładają je na krawędź lasu i odmawiają modlitwę, posypując truchło tytoniem.

Obóz tipi, Krąg, za każdym razem wzbudza we mnie poczucie podążania właściwą drogą, która przez dziesięciolecia, doprowadziła właśnie do tego pięknego punktu w życiu, w którym się znajduję. Każdy dzień może być piękny, nawet jeśli zaczął się pochmurnie. W tym Kręgu, w którym wszyscy są równi i dla każdego znajdzie się miejsce pod wielkim dachem nieba, wielu z nas odnajduje siebie. Wracamy do początku, do Natury. Tak często oderwani, rozproszeni, rozbiegani, zamgleni codziennością. Od Braci naszych oderwani asfaltem, samochodem, butami... Zamieniamy je na mokasyny, albo kroczymy boso. Dotykamy znów trawy, dotykamy prawdziwego życia na Matce Ziemi. Odnajdujemy wartości, którymi za młodu nasiąknęliśmy poprzez lektury, filmy, z czasem nawet spotkaniami z Nimi. Okazuje się, że w tych młodzieńczych czasach, kiedy czuliśmy się osamotnieni w naszych poszukiwaniach, dziwni dla otaczającego nas świata, nie byliśmy jednak sami. Podobnych nam było wielu. Tylko wtedy mało o sobie wiedzieliśmy. Trudniej się było komunikować, bardziej trzeba się było postarać, by odnaleźć podobnych sobie. Nie takich wcale odmienców, za jakich się uważaliśmy. Bo takich jak my, są setki. I w tym Kręgu, wspólnocie, odnajdujemy akceptację, przyjaźnię, ciszę, czasem też ucieczkę od codzienności. Możemy być sobą, nie musimy niczego przez nikim udawać.

Uczestnictwo w Ruchu, daje wiele. Więcej, intensywniej, mocniej, przeżywa się życie. Zwłaszcza, kiedy ma się okazję obcować z Nimi. Nawet krótkie spotkania były dla mnie ważne, pełne uśmiechu, radości, żartów, powagi. Inna perspektywa, inne spojrzenie na codzienność, poza naszym, eurocentrycznym postrzeganiem rzeczywistości. To dzięki Nim poszerzają się horyzonty, poznaje się języki, aby chociaż spróbować, czasem nieudolnie, poczuć Ich ducha? Ale co to w zasadzie znaczy – ten „indiański duch, indiańska ścieżka”, ten cały „indianizm, indianerka”? Mówiąc wyłącznie za siebie, to przede wszystkim naturalne spojrzenie na świat. Począwszy od poranka, Gwiazdy Porannej, tej najpotężniejszej chwili dnia – narodzin. Podziękowanie za Stworzenie, codzienną pracę – niezależnie od tego, jaką się wykonuje. Najlepiej jak się potrafi, bez chodzenia na skróty. Bycie wiernym swoim ideałom, w zgodzie ze sobą i z innymi. Zatrzymanie się w drodze i zachwycenie widokiem wschodzącego nad miastem słońca. Ujrzeniu w Dziecku siebie, swoich najbliższych. I nie trzeba aż tak przejmować się codziennością. Bycie łagodnym, podążającym w harmonii. Jakie to piękne, proste. Czasem nieosiągalne, bo często o tym zapominamy.

Ceremonie z Nimi: Fajka, którą drżącymi dłońmi napełniało się pierwszy raz nie do końca wiedząc jak, modlitwa po polsku w szalasie pary za granicą; pejotlowe kolory i bębna wodnego pieśń w dalekich stronach; szybujący ludzie przy Drzewie Życia podczas Tańca Słońca. Język modlitwy to język serca. Możesz dziękować niemalże za wszystko co cię spotyka. Dla tancerza każdy krok w tańcu winien być podziękowaniem i modlitwą. Dla biegaczy – każdy krok w tym wielkim, niekończącym się biegu życia to jednocześnie połączenie ze wszystkimi biegaczami w przeszłości, teraz, i tymi co po nas za lat wiele bieć będą. My, jesteśmy jedynie małym ogniwem w tym wielkim łańcuchu życia. Poprzez nasze działania, jesteśmy połączeni. Tutaj, jednocześnie też nie ma przeszłości, teraźniejszości, przyszłości, jest znów KRAĞ.

Życie na zlocie toczy się czasem bardzo leniwie, gdy spędzasz czas, siedząc przed tipi i paląc fajkę. Czasem znów bardzo intensywnie: tak wiele spotkań, działań, ludzi, nie wiesz w czym wziąć udział, a co opuścić. Później znów składasz płótno, upychasz do worka, składasz tyczki, miejsce po ognisku przykrywasz darnią, obóz znika, jakby nigdy nie było tu przecież żadnych... Indian. Wracasz do codzienności, i wiesz, że za rok, a może wcześniej, jeśli duchy pozwolą, będziesz możliwość znów spotkać się z przyjaciółmi. Dzielisz się zdobytą już wiedzą, uczysz się dalej w nowych przestrzeniach. Ale wszędzie dokąd podążasz, zabierasz tę część własnej, osobistej, indiańskości. Czasem może to być nawet szklany koralik, przypięty gdzieś do ubrania. Czasem wystarczy mieć tylko w głowie i sercu świadomość. Że nie jesteś sam, że jest Krąg, który jednoczy. Że powstał tysiące lat temu i jesteś dumnym jego ogniwem. Wszystko to uświadamiasz sobie w oparciu o kontakty z Nimi. Zdajesz sobie sprawę, że jesteś częścią tej rzeczywistości wokół ciebie, jesteś odpowiedzialny za ten skrawek przestrzeni dookoła. Będąc połączonym, twoje działanie ma znaczenie w Wielkim Życiu Kręgu. I najlepsze jest to, że możesz być właśnie sobą, a nikim innym. Nigdy nie będziesz w skórze innego człowieka, nigdy nie zobaczysz ognia dokładnie z tej samej strony, po której siedzą zapatrzone węże – inne oczy. I absolutnie, nie powinien być kimś innym, niż jesteś. Czerpiesz ze Studni Mądrości tylko po to, by Wiedzę tę dalej przekazywać.

Każde spotkanie z Nimi to nauka. Jak i spotkanie z każdym napotkanym człowiekiem, drzewem, kamieniem czy mrówką. Tylko od nas zależy, czy potrafimy odczytać i dostrzegać subtelne znaki. Te, pięknie, z pasją i zachwytem chwili, znajdują co chwilę rdzenni Amerykanie. Tak samo jak my mają swoje problemy, codzienność, ułomności, dumę i wiarę. Oraz te niespełnione i spełnione marzenia. My mamy nasze, spełniające się od pięćdziesięciu lat – w Polskim Ruchu Przyjaciół Indian. I tyleż jeszcze przed nami Dróg pięknych.

Hózhóogo naasháa doo
Shitsijí' hózhóogo naasháa doo
Shikéédéé hózhóogo naasháa doo
Shideigi hózhóogo naasháa doo
T'áá altso shinaagóó hózhóogo naasháa doo
Hózhó náhásdlí'
Hózhó náhásdlí'
Hózhó náhásdlí'
Hózhó náhásdlí'

In beauty I walk
With beauty before me I walk
With beauty behind me I walk
With beauty above me I walk
With beauty around me I walk
It has become beauty again
It has become beauty again
It has become beauty again
It has become beauty again

Dariusz „Bluewind” Kachlak

Nie tylko trwać

W odpowiedzi na list wysłany po programie w telewizji, tuż przed II Zlotem (w 1978 roku) odwiedzili mnie Niedźwiedź i jeszcze ktoś (nie pamiętam niestety kto). Po przesłuchaniu, odpytaniu i przeglądzie pieczołowicie gromadzonych przeze mnie tematycznych materiałów, delegaci najwyraźniej uznali, że się nadaję i tak zostałem indianistą. Otworzyły się drzwi do magicznego świata.

III Zlot w Chodzieży, mój pierwszy i niezapomniany. Dość oczywiście wydaje mi się, że dla 13-letniego chłopaka bycie w Ruchu było silnie transformujące.

Dawny Ruch z lat 70. i 80. dawał silne poczucie, że razem (my, nasze więzi, nasze idee) możemy zmieniać świat, dzisiaj moim zdaniem Ruch jest w dużej mierze ucieczką, schronieniem przed tym co na zewnątrz. Zmieniło się wszystko po trochu, może najbardziej mental i struktura (obecnie mało demokratyczna). Z tamtego „ducha” już wiele nie zostało, Media społecznościowe wyraźnie osłabiły wspólnotowość.

Indianista, czy przyjaciel Indian, to moim zdaniem dość niefortunne określenia. Pojęcie „bycie indianistą” wydaje mi się mało inkluzywne, pomija bowiem bogatą sferę obrzeży Ruchu, wyklucza ludzi, którzy się z tym określeniem nie utożsamiają, a jed-

nocześnie jest nazbyt pojemne zważywszy na melanż wartości, postaw czasem trudnych do pogodzenia, stanowiący tym samym ograniczenie dla głębszej identyfikacji. Z kolei „bycie przyjacielem Indian” to często dość wygodna postawa dająca poczucie wyjątkowości i wewnętrznego przekonania, że to co robimy, co praktykujemy, jest z gruntu słuszne. Deklaracja o przyjaźni pozbawiona relacji, odnosi się raczej do własnego wyobrażenia o Indianach. PRPI służył i nadal służy głównie jego uczestnikom.

Obserwując najbardziej wybijające się trendy i wyraziste kierunki aktywności PRPI trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z celebrowaniem romantycznej wizji Indian, zastygłym XIX-wiecznym kadrem, niczym z obrazu Catlina czy Russella.

Moim zdaniem zarówno na zlotach i w środowisku bardzo często ma miejsce zawłaszczanie kulturowe, nie zmienia tego składane zapewnienia o zachowaniu odpowiedniego szacunku, a nawet okazjonalna akceptacja od wybranego przedstawiciela tubylczej społeczności, z pominięciem nieraz innych licznych głosów krytyki lub sprzeciwu. Brakuje mi refleksji, czy może właściwszą formą okazywania szacunku było by np. powstrzymanie się od określonych praktyk, nie wchodzenie w pewne obszary, czy nie dotykanie pewnych spraw.

Misyjne wręcz zapewnienia o potrzebie popularyzacji i edukacji często są parawanem dla realizacji własnych interesów i potrzeb, nierzadko nieuświadomionych, jak np. „wellness” własnego ego, a to silny imperatyw mogący uśmierzać pojawiające się ewentualne wątpliwości.

Ludzie tworzący PRPI to jego największa wartość i najcenniejszy zasób. Dawniej i dzisiaj. Fenomen Ruchu (jego trwanie) zasadza się w dużej mierze na wspólnocie właśnie. Ruch daje szansę na zdrowe relacje w których jest przepływ, czyli raz od kogoś bierzemy, a raz dajemy. Bycie w Ruchu kusi poczuciem bliskości, przynależności, poczuciem bycia akceptowanym, bycia widzianym i docenianym, nawet za cenę przebywania w bańce. Ewentualny, związany z tym moralny dyskomfort łagodzi satysfakcja bycia w, a nie poza grupą. Niestety powoduje to czasem, że „prawda” i jej dociekanie są mniej istotne od tego co nas spaja. Paradoksalnie niebywała różnorodność idei, postaw i wielobarwność uczestniczek i uczestników PRPI bywa jednocześnie ograniczeniem do przyjmowania głębokich, transformacyjnych możliwości, które przynosi nam codzienne życie. Właśnie ta gloryfikowana różnorodność w konsekwencji sprawia, że Ruchowi bliżej do dominującej obecnie kultury zobojętnienia, niż bycia źródłem odwagi do stawiania czoła np. kryzysom środowiskowym, społecznym, klimatycznym i innym. Mam wrażenie, że PRPI jest impregnowany na dramatycznie szybko postępującą destabilizację planetarnej homeostazy.

Czy współczesnym tubylcom potrzebny jest taki Ruch? Wątpię. Uważam, że uczciwsze byłoby przyznanie, że Ruch jest przede wszystkim dla jego uczestników, ale uświadomienie sobie tego wiązałoby się z przyjęciem odpowiedzialności.

Z Ruchu wywodzą się moje najtrwalsze przyjaźnie, wiążą się z nim piękne wspomnienia, Ruch jest kompostem moich najcenniejszych wartości... Zatem niech trwa!

Piotr Nowakowski



Jak **powrót** do domu

Indianistą można zostać z dnia na dzień. Nawet jeśli wcześniej temat Indian wydawał się niepoważny i niespecjalnie ciekawy, jednego wieczoru można doświadczyć i usłyszeć coś, co nada całemu życiu nowy kierunek. Niemal 25 lat temu Julius Chavez, artysta, nauczyciel, założyciel rodzinnego zespołu Star Flint, propagator tradycyjnej wiedzy, śpiewał na scenie nowosądeckiego „Sokoła” tradycyjne pieśni Nawaho. To było moje pierwsze spotkanie z tubylczymi Amerykanami, które pchnęło mnie w podróż po polskich złotach, bliższych i dalszych uczelniach oraz pustyniach Południowego Zachodu.

To, co przyciągnęło mnie w PRPI ponad 20 lat temu, przyciągnęło mnie również z powrotem po długiej nieobecności. Ludzie z pasją, tworzący wyjątkową społeczność, w czasach, w których wielu z nas brakuje poczucia przynależności, obecności i wsparcia „plemienia”. Powrót po wielu latach do PRPI był dla mnie jak powrót do domu, w którym nadal mieszkają prawie wszyscy krewni. Nadal robią swoje, jednym posrebrzały głowy, innym pojawiły się dzieci, ale rzeczy są takimi, jakimi były. Zapewne w oczarowaniu stałością wydarzeń, tradycjami, które przetrwały, twarzami, które pamiętam, umknęły mi głębokie zmiany, które zaszły w PRPI, a które widzą ci, którzy mają szerszy punkt odniesienia i nieustannie trwają w tym środowisku. Ja wróciłam między polskie tipi z pokorą, wzruszeniem i głębokim poczuciem, że niektóre rzeczy się nie zmieniają. Dom stoi bezpiecznie, a wspólnota przetrwała i wszystko wskazuje na to, że przetrwa.

Ruch jest według mnie przede wszystkim środowiskiem ludzi, którzy go tworzą. Jest szansą na stworzenie wspólnoty i rozwijanie przyjaźni oraz pasji, która łączy. Ruch wspiera bycie razem, tworzenie czegoś innego i niejednokrotnie bardziej wartościowego niż to, co oferuje nam obecna rzeczywistość. Nie mogę powiedzieć, że działalność i rozwój PRPI generalnie nie mają znaczenia dla rdzennych Amerykanów i nie służą ich sprawom. Byłoby to niesprawiedliwe uogólnienie i opinia krzywdząca tych głęboko zaangażowanych w zrozumienie i próbę poprawy szeroko pojętych problemów społecznych ludów tubylczych. Mogę jednak powiedzieć, że z mojej perspektywy wspólnota, jaką PRPI tworzy w Polsce, i pozytywne działania ludzkie, jakie umożliwia i promuje w polskich kręgach, są dla mnie nadrzędną i realną wartością.

Mieszkając i studiując w Stanach, miałam okazję dyskutować z rdzennymi Amerykanami na temat działalności takich organizacji jak PRPI. Czasem, w prywatnych i siłą rzeczy ograniczonych rozmowach, wydawało mi się, że członkowie Ruchu bardziej przejmują się kwestiami poprawności politycznej, zawłaszczenia kulturowego, wyobrażonej autentyczności i odpowiedniego, wyważonego sposobu na bycie sojusznikiem spraw indiańskich niż ci konkretni ludzie, z którymi rozmawiałam.

Rzecz jasna, luźne dyskusje ze znajomymi mogą dać zupełnie zakłamany obraz sprawy. Jednak z mojego doświadczenia wynika, że działania PRPI nie zawsze były widoczne ani szczególnie rozpoznawalne w lokalnych kontekstach indiańskich, z którymi miałam styczność. Z mojej perspektywy wiedza wynikająca z głębokiego zaangażowania i czasu poświęconego na poznawanie tematu, objawiająca się w rekonstrukcji historycznej, czy w dzieleniu się rzetelnymi informacjami na temat współczesnych realiów indiańskich, ma niebanalne znaczenie w Polsce. Zarówno dla członków PRPI, jak i dla współrodaków o przeciętnych, jeśli nie stereotypowych, wyobrażeniach na temat ludów tubylczych Ameryki Północnej.



Z perspektywy czasu, ze wszystkich kontekstów i tematów związanych z tematyką indiańską najbardziej lubię i cenię sobie właśnie PRPI. W jakimś przewrotnym sensie, przynajmniej dziś, uważam się bardziej za przyjaciółkę indianistów niż Indian - nie dlatego, że sprawy rdzennych narodów są mi obojętne, ale dlatego, że to właśnie z tym polskim środowiskiem łączy mnie najbardziej realna i trwała więź. To, co nas łączy, to jakieś zrozumienie dla niesprawiedliwości dziejowej, niezgoda na wymazanie historii, antysystemowość, zachwyt nad pięknem i bogactwem kultur stworzonych przez człowieka. Łączy nas konkretny temat, ale istnienie tego połączenia liczy się dla mnie bardziej. Nie mam również potrzeby nadmiernie idealizować wspólnoty PRPI. W końcu w każdej ludzkiej zbiorowości, w każdym plemienu, będzie miejsce na dramaty, rywalizację, podążanie za prostymi impulsami, potrzebę wpływu, walkę o uznanie, wszystkie nasze ludzkie przywary, od których w grupie ciężko się uwolnić, bo samo bycie w grupie je aktywuje. To, co jest w PRPI trudne, jest również trudne w każdej innej społeczności. To, co jest najpiękniejsze, to niezmienna więź wytworzona wokół relatywnie abstrakcyjnego tematu.

Obserwując zaangażowanie i obecność młodszych pokoleń na złotach, mam nadzieję, że w jakimś zakresie i przez dłuższy czas tradycja złotów i działalności PRPI nie upadnie. Bycie razem i tworzenie czegoś pozytywnego dla siebie nawzajem to główna wartość Ruchu, jaką dostrzegam. Widząc, w jakim kierunku zmierza świat, mam wrażenie, że będzie to jeszcze bardziej potrzebne i przynajmniej z tego powodu powinniśmy pielęgnować tradycję spotkań dla kolejnych pokoleń. Nawet jeśli za 30 lat siądziemy przy ogniu w dużo mniejszym, przeredzonym gronie, to wartość wspólnoty wykształconej na przestrzeni dziesięcioleci jest bezcenna. Zmienia nasze życie, daje poczucie przynależności, tworzy głębokie relacje, sprawia, że świat jest trochę lepszym miejscem. Może zaśpiewamy wtedy wspólnie pieśń, która przypomni mi, od czego to wszystko się zaczęło. I że wszyscy jesteśmy spokrewnieni.

Jagna Cyganik

Pół wieku PRPI

50-lecie Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian to właściwy moment, by wyjść poza jubileuszowe wspomnienia i spojrzeć na własną historię dojrzałej – spokojnie, uczciwie i bez burzenia tego, co przez lata było dla nas ważne. Zwłaszcza, że polski indianizm – podobnie jak europejski – nie wyrastał wyłącznie z kontaktu z rzeczywistymi społecznościami tubylczych narodów Ameryki Północnej. Kształtowały go książki, filmy, ekologiczne marzenia, kontrkultura, polityczne bunty oraz – sięgające powieści Coopera i Maya – typowo europejskie, mało realne wyobrażenia o „Indianinie”.

I właśnie dlatego wpływ na PRPI miał nie jeden obraz Indianina, lecz kilka różnych obrazów naraz — często wzajemnie sprzecznych, ale emocjonalnie niezwykle silnych. Dla jednych z nas Indianin był strażnikiem natury. Dla innych wojownikiem politycznego oporu. Dla jeszcze innych nauczycielem duchowości albo symbolem utraconego świata prostszych wartości. Radziliśmy sobie z tym – lepiej lub gorzej – od końca lat 70. i pierwszych zlatów pod Chodzieżą. W kolejnych okresach dominowały różne interpretacje. W niejednym aspekcie spieraliśmy się i błędziliśmy, ale próbowaliśmy wyciągać wnioski i zwykle znajdowaliśmy nić porozumienia. Niektórzy z Ruchu odchodzili, część wracała. Problemy narastały, gdy symbol całkowicie przesłaniał rzeczywistość. Historia PRPI pokazuje więc nie tylko dzieje fascynacji kulturami Ameryki, ale też historię naszych marzeń, tęsknot i prób szukania alternatywy wobec własnej kultury i cywilizacji. W takim pejzażu szczególne miejsce zajmują postacie wpływowe, inspirujące i często autentycznie zasłużone, ale także obciążone uproszczeniami, mitami albo niejednoznacznym sposobem przedstawiania świata Indian. I właśnie dlatego warto dziś spojrzeć na nie spokojniej — nie po to, by je symbolicznie „unieważniać”, lecz po to, by lepiej zrozumieć, jak naprawdę kształtowała się i zmieniała przez pół wieku świadomość polskich indianistów. Oto niektóre, co bardziej charakterystyczne, przykłady.

„Indianin i natura” - romantyczni tłumacze alternatywnego świata, Ernest Thompson Seton

Dla kilku pokoleń europejskich indianistów ten brytyjski pionier skautingu był kimś znacznie więcej niż autorem opowieści o puszczy czy twórcą woodcraftu. Był człowiekiem, który próbował przetłumaczyć „indiańską lekcję” na język zachodniego wychowania. W jego książkach Indianin przestawał być „dzikim” z dawnych westernów, stając się symbolem samodzielności, wspólnotowości i szacunku wobec przyrody. Dzięki Setonowi tysiące młodych ludzi w Europie zaczęło postrzegać naturę nie jak magazyn surowców, ale jako przestrzeń odpowiedzialności i relacji.

Wpływ Setona na późniejszy polski indianizm był znaczny, choć raczej pośredni. Wiele osób z PRPI przejęło od niego nie tylko fascynację kulturami rdzennymi, ale też sam styl przeżywania obozu, lasu, wspólnoty i „powrotu do prostoty”. Z dzisiejszej perspektywy coraz wyraźniej widać jednak ograniczenia tego modelu. Seton nie opisywał rzeczywistych, współczesnych społeczności tubylczych, lecz tworzył własny ideał „indiańskości” — mocno przefiltrowany przez zachodni romantyzm i kryzys nowoczesności początku XX wieku. Jego „Indianin” był bardziej figurą moralną, niż realnym człowiekiem: bliski naturze, spokojny, honorowy, niemal wolny od słabości. W efekcie łatwo było zapomnieć, że rdzenne narody Ameryki Północnej nie są jednolitym symbolem, lecz żywymi społeczeństwami z własnymi problemami, sporami, różnorodnością i nowoczesnością. I nie bardzo pasują do harcerskiego mundurka.

Arkady Fiedler

Dla polskich indianistów jednym z pierwszych przewodników po świecie Indian obu Ameryk był często pisarz, podróżnik i przyrodnik Arkady Fiedler. W czasach PRL-u jego książki otwierały okno na świat poza żelazną kurtyną i poza oficjalną propagandą. Pokazywały Amerykę nie tylko jako kraj nieujarzmionej przyrody i związanych z nią ludów o dramatycznej historii. Dla wielu młodych ludzi była to pierwsza emocjonalna lekcja szacunku wobec Natury i stanowiących jej część „pierwotnych” indiańskich kultur.

Fiedler odegrał więc ważną rolę w popularyzacji ekologicznej wrażliwości. Jego Indianie byli ludźmi związanymi z krajobrazem, zwierzętami i rytmem przyrody. Problem polega jednak na tym, że podobnie jak u Setona także tutaj Indianin stawał się często „moralną alternatywą” wobec Zachodu — symbolem utraconej harmonii, prostoty i czystości. Znikała codzienność współczesnych społeczności tubylczych: życie w miastach, polityka, ubóstwo, uzależnienia, konflikty społeczne czy zwykła różnorodność charakterów i postaw. W efekcie wielu z nas poznawało u Fiedlera bardziej „świat tęsknot za Indianami”, niż realnych ludzi.

„Indianin jako ikona ekologiczna” - symbol natury i jego pułapki, Iron Eyes Cody

Aktor Iron Eyes Cody przeszedł do historii jako twarz jednej z najbardziej znanych kampanii ekologicznych XX wieku — twarz słynnego „Indianina z łzą”, spoglądającego na zaśmiecony krajobraz Ameryki. Dla milionów ludzi na świecie stał się symbolem ekologicznego sumienia i przekonania, że nowoczesna cywilizacja niszczy świat natury. Ten przejmujący obraz bardzo silnie oddziaływał także na nas, europejskich indianistów, wzmacniając przekonanie, że tubylcze kultury Ameryki reprezentują bardziej odpowiedzialny stosunek do Ziemi.

Problem polega na tym, że symbol ten oparto na fikcji – Cody był potomkiem włoskich emigrantów, który przez całe życie podawał się za Indianina, co współcześni działacze tubylczy uznają za zawłaszczenie tożsamości. Sprawa pozostaje jednak złożona: Cody realnie angażował się proekologicznie i przez dziesięciolecia pomagał przełamywać rasistowskie stereotypy Hollywood. Jednocześnie - jak wielu mu podobnych - unikał odnoszenia się do podnoszonych zarzutów sfalszowania własnej biografii. Pozostaje więc zasadnym pytanie, czy można budować społeczną wrażliwość na fałszywej reprezentacji — i czy ekologiczny, lecz nieetyczny, symbol nie zastąpił w tym przypadku i nie osłabił wymowy autentycznych głosów tubylczych ekologów?

Grey Owl

Grey Owl, celebryta swoich czasów, był jednym z pierwszych popularyzatorów ochrony przyrody w Wielkiej Brytanii i Ameryce Północnej. Jego książki i wykłady pomagały słuchaczom i czytelnikom zmieniać sposób myślenia o relacji człowieka z naturą. Dla wielu indianistów był symbolem człowieka, który odrzucił agresywną cywilizację Zachodu i wybrał życie bliżej świata zwierząt, lasu i rzek. Wybrał też „bycie” Indianinem.

Ale również tutaj pojawia się problem przyjętej fałszywej tożsamości — Grey Owl naprawdę nazywał się Archibald Belaney i pochodził z Wielkiej Brytanii. Swoją pozycję moralnego autorytetu budował jako „Indianin”, choć nim nie był. Tak jak w przypadku „płaczącego Indianina” rodzi to niewygodne pytanie: czy dobre idee ekologiczne można oddzielić od sposobu, w jaki zostały

przedstawione? Dla części ludzi pozostaje obrońcą bobrów i ważnym pionierem ochrony przyrody. Dla innych jest raczej przykładem tego, jak Zachód potrzebował „indiańskiej maski”, żeby usłyszeć własne ekologiczne sumienie. Tak czy inaczej, jego wpływ na europejski, a więc i nasz, obraz „Indianina jako naturalnego strażnika Ziemi” był istotny.

„Indianin jako duchowy system” - między inspiracją a New Age, Carlos Castaneda

Trudno znaleźć postać, która w drugiej połowie XX w. mocniej wpłynęła na europejskie wyobrażenie „mistycznego Indianina” niż właśnie Castaneda. Jego książki o mitycznym don Juanie były dla wielu ludzi pierwszym kontaktem z ideą odmiennej świadomości, duchowej inicjacji i „indiańskiej wiedzy”. W latach 80. działało to niezwykle silnie także w naszym środowisku – polskich indianistów głodnych alternatywy wobec szarego, zracjonalizowanego i wciąż dość zamkniętego świata końca PRL-u. Jego literackie uniwersum stało się tematem badań antropologów i psychologów kultury. A i samym Indianom zdarzało się – i nadal zdarza – podążać jego krętymi śladami.

Jednocześnie właśnie tutaj szczególnie wyraźnie widać problem mieszania literatury, mitu i rzeczywistości. Wielu badaczy uważa dziś, że Castaneda (a za nim np. Lynn Andrews) stworzył niezwykle wpływową fikcję literacką, która zaczęła funkcjonować jako autentyczna tradycja tubylcza. W efekcie Indianin został sprowadzony do roli „mistrza duchowości”, oderwanego od konkretnej historii, polityki i codzienności rdzennych społeczności. Dla części odbiorców Castaneda otworzył drzwi do głębszej refleksji nad świadomością i relacją człowieka z naturą. Dla innych stał się jednym z głównych źródeł zachodniego stereotypu „tajemniczego szamana” i skazanych na porażkę mistycznych poszukiwań w kręgach New Age. I wciąż znajduje czytelników, próbujących odkryć jego magiczny świat lub krytycznie odczytać go na nowo.

Sun Bear

Wyjątkową rolę w duchowej odmianie europejskiego indianizmu odegrał także Odzibwey Sun Bear i środowisko nauczycieli z kręgu Bear Tribe. Dla wielu jego książki i spotkania były pierwszym kontaktem z uporządkowaną wizją „indiańskiej duchowości”: kręgi życia, totemy, równowaga, bliskość z Matką Ziemią, duchowa odpowiedzialność człowieka wobec świata natury – to pojęcia mocno przemawiające do kolejnych pokoleń młodych, poszukujących idealistów. Szczególnie w latach 80. i 90. trafiało to mocno w potrzeby ludzi zmęczonych industrializacją, konsumpcją i kryzysem więzi społecznych. To na ich potrzeby odpowiadał m.in. jeden ze współtwórców ruchu, uczeń Sun Beara, pisarz i edukator Leszek Michalik oraz powstałe z jego inicjatywy sztumskie Stowarzyszenie Żółwi.

Jednocześnie to właśnie Sun Bear stał się dla wielu tubylczych tradycjonalistów symbolem problemów związanych z ujednoliconą panindiańską duchowością i „plastikową” kulturą New Age. Krytykowano go za mieszanie różnych tradycji w jeden uniwersalny system „indiańskiej mądrości”, za wrywanie ceremonii z kontekstu wspólnotowego i za tworzenie duchowości „dla wszystkich”, niezależnie od relacji z konkretnymi plemionami. W Europie skutkiem tego było często zatarcie różnic między realnymi kulturami tubylczej Ameryki i spopularyzowanie poszukiwań „duchowości instant”.

Powstawał wygodny obraz „Indianina jako nauczyciela harmonii” – atrakcyjny duchowo, lecz uproszczony kulturowo. Weekendowe lub wakacyjne komercyjne warsztaty i ceremonie z udziałem wędrownych nauczycieli-celebrytów o dyskusyjnym często rodowodzie do dziś zaspokajają duchowe deficyty osób szukających prostych odpowiedzi. Choć wypracowana przez lata możliwość czerpania z autentycznych nauk Czarnych Stóp czy Lakotów może stanowić dojrzszy alternatywę, wciąż nie brakuje chętnych na synkretyczne rytuały tworzone pod oczekiwania odbiorców ze świata warsztatów, coachów i liderów.

„Indianin jako współczesny głos kultury” - między autentycznością a symbolem, Joanne Shenandoah

Joanne Shenandoah wносиła do europejskiego indianizmu coś bardzo ważnego: współczesny, autentyczny głos konkretnego narodu — Oneidów i całej konfederacji Haudenosaunee. Jej muzyka przypominała, że rdzenne kultury nie należą do przeszłości, lecz żyją, rozwijają się i tworzą współczesną sztukę. Dla wielu polskich indianistów była pierwszym kontaktem nie z „mitem Indian”, ale z prawdziwą współczesną twórczością rdzenną, a jej koncert w Bydgoszczy w 2012 roku (z towarzyszeniem polskich tancerzy powwow) przeszedł do legendy PRPI.

A jednak nawet tutaj pojawia się mechanizm stereotypizacji. W Europie jej muzyka często zaczynała funkcjonować jako „uniwersalna muzyka Indian” — tło do wyobrażeń o harmonii z naturą i duchowym świecie dawnych kultur. Znowu znikała konkretność: własny język, historia i polityczne doświadczenie jej narodu, społeczne zaangażowanie artystki i jej rodziny. Jej przypadek pokazuje, że problem nie zawsze polega na tym, kto mówi, ale także na tym, jak słuchają odbiorcy i jak szybko zamieniają czyjąś kulturę w wygodny dla siebie symbol. Echa tej niezręczności wybrzmiewają przy niejednym złotowym ognisku. Na szczęście są szanse, że rośnie też świadomość tego, kogo i czego słuchamy. A także tego, co sami gramy i śpiewamy.

Buffy Sainte-Marie

Buffy Sainte-Marie przez dziesięciolecia była jednym z najważniejszych tubylczych głosów w kulturze popularnej Ameryki Północnej. Śpiewała o szkołach rezydencyjnych, wojnie, kolonialnej przemocy, wykluczeniu i prawach rdzennych narodów. Dzięki niej tematy tubylcze weszły do głównego nurtu muzyki i debaty publicznej. Także dla wielu indianistów „Indianka z Ulicy Sezamkowej” i Listy Przebojów Trójki była dowodem, że współczesny Indianin nie jest reliktem przeszłości, lecz może być aktywnym uczestnikiem współczesnej popkultury i polityki.

Jednocześnie współczesne spory dotyczące deklarowanej przez St. Marie tożsamości pokazały bardzo trudny problem reprezentacji. Nie chodzi już tylko o biografię, ale o pytanie: kto dostaje możliwość mówienia w imieniu marginalizowanych społeczności? Dla wielu Indian i nie-Indian Buffy pozostaje osobą, która zrobiła ogromnie dużo dobrego dla nagłaśniania problemów tubylczych. Dla innych jej historia stała się symbolem tego, jak łatwo nawet progresywna kultura Zachodu może ignorować niewygodne pytania i promować własne obrazy indiańskości kosztem głosów mniej znanych, a bardziej autentycznych, przedstawicieli tubylczych społeczności. Znanyymi w PRPI przykładami tych ostatnich stały się choćby nawahijski zespół Blackfire, z powodzeniem łączący stylistykę punkową i anarchistyczną z pokazami tradycyjnych tańców i zaangażowaniem w działalność na rzecz środowiska i praw człowieka oraz lakocki piosenkarz, gitarzysta i rzecznik obrony bizonów Goodshield Aguillar.

Indianin jako współczesny artysta — między reprezentacją, edukacją i oczekiwaniami, Dennis Zotigh

Dennis Zotigh wniósł do PRPI rzadką dawniej możliwość spotkania się z żywą kulturą w formie powwow. Ten nurt kultury, odbieranej jako realna praktyka pielęgnowania ciągłości tradycji i wspólnoty jej uczestników, okazał się atrakcyjny i stosunkowo dostępny także dla indianistów. Jako tradycyjny tancerz i wieloletni edukator, Zotigh pokazywał europejskim odbiorcom, że taniec, pieśń i regalia nie są „folklorem wymarłego świata”, ale częścią współczesnego życia tubylczych społeczności w świecie spotkań wielu kultur. A do tego czymś, w czym można uczestniczyć, nie będąc tradycyjnym Indianinem, czy nawet Indianinem w ogóle. Jego obecność w Polsce – głównie internetowa, ale przed laty także osobista – miała w związku z tym dla części środowiska PRPI znaczenie szczególne. Pozwalała wyjść poza wyobrażenia i utarte szlaki, zetknąć się z przekazem o kulturze z perspektywy jej uczestnika i – co dla lokalnych tancerzy i pieśniarzy równie ważne – ryzykować wejście w tę kulturę samemu, dynamicznie i autentycznie.

Jednocześnie przypadek Zotigha i innych indiańskich gości europejskich powwow pokazuje ograniczenia naszego odbioru tej formy tubylczej kultury. Dla części indianistów formuła i etykieta powwow okazuje się czasem zbyt wymagająca, a dla innych za mało „tajemnicza” i mniej romantyczna w porównaniu ze światem wojowników, szamanów i duchowych wizji. Paradoksalnie więc właśnie autentyczność i uporządkowanie przekazu Indian ze środowiska reprezentowanego przez Zotigha mogą być mniej atrakcyjne, niż „stare drogi” czy mity o „mistycznym Indianinie”. A przecież to właśnie takie głosy pomagają nam płynnie przechodzić od fascynacji Indianinem wyobrażonym do spotkań na arenie tańca i uczestnictwa w żywym i stosunkowo otwartym dla nas kręgu kultury. W pewnym sensie pozwalają niepoprawnym marzycielom „stać się” na czas tańca Indianinem.

N. Scott Momaday

N. Scott Momaday odgrywał wyjątkową rolę w przełamywaniu zachodnich stereotypów o literaturze tubylczej. Jako pisarz Kiowa i pierwszy indiański laureat Nagrody Pulitzera pokazał, że współczesny pisarz indiański nie musi być tylko „informatorem etnograficznym” czy strażnikiem egzotycznej tradycji, lecz może być pełnoprawnym uczestnikiem światowej literatury. Jego twórczość – obecna także w Polsce dzięki przekładom publikowanym jeszcze w czasach PRL – wniosła do środowiska indianistów coś znacznie głębszego niż typowa przygodowa fascynacja „Dzikim Zachodem”. Momaday przypominał, że doświadczenie tubylcze obejmuje pamięć historyczną, język, krajobraz, utratę, duchowość i nowoczesność jednocześnie.

Ale również tutaj pojawiały się trudności odbioru. Momaday wymagał – jego literatura była dla części wczesnych polskich indianistów zbyt wymagająca, symboliczna i daleka od oczekiwań ukształtowanych przez znane im książki przygodowe, filmy czy legendy PRPI. Na jego wykładzie w Poznaniu pod koniec lat 70. nie było bodaj żadnego z ówczesnych młodych indianistów. Momaday nie oferował prostego podziału na „dobrych Indian i zły Zachód”, ani łatwych recept duchowych. W efekcie wielu odbiorców łatwiej przyswajało bardziej popularne, emocjonalne lub widowiskowe formy indiańskości, niż wysublimowaną literacką narrację Momadaya. A jednak to właśnie on pomógł PRPI mozolnie odchodzić od trzymania się romantycznych mitów ku bardziej dojrzałym spotkaniom z autentycznymi głosami kolejnych tubylczych twórców. Otworzył drogę do naszych serc i umysłów takim twórcom, jak Louise Erdrich, Joy Harjo, Tommy Orange czy Leslie Marmon Silko. I dziś to także my pomagamy je nagłaśniać.

„Indianin jako historia i polityka” — od romantyzmu do aktywizmu, Dee Brown

Książka „Pochowaj me serce w Wounded Knee” była dla wielu Amerykanów – a później także dla europejskich indianistów – prawdziwym wstrząsem. Biały historyk Dee Brown po raz pierwszy na taką skalę pokazał historię Ameryki z perspektywy podbijanych narodów tubylczych, a nie triumfujących osadników. Dla milionów czytelników był to początek krytycznego spojrzenia na kolonializm, przemoc i mit „Dzkiego Zachodu”. Do lat 80. nie mieliśmy w Polsce takich książek, a tłumaczenia z politycznego magazynu „Akwasasne Notes” docierały do nielicznych w PRPI.

Ale również Brown pozostawił po sobie pewne uproszczenia. W jego narracji łatwo było zobaczyć świat podzielony na „białych sprawców” i „indiańskie ofiary”. Taka mocna korekta wcześniejszej propagandy była potrzebna, a w kręgu tubylczych intelektualistów rozwinął ją u szczytu rozwoju ruchu Red Power mało u nas znany lakocki filozof, historyk i aktywista prof. Vine Deloria, Jr.. Ale tak radykalnie inna wizja mogła też prowadzić do nowej jednostronności, w której zniknęły różnice między narodami tubylczymi, złożoność politycznych konfliktów czy trudne wybory życiowe ludzi po różnych stronach historii. A jak przekonał się w PRPI nie raz, ten kto utknie w tak czarno-biało opisywanym świecie, może miewać problemy ze zrozumieniem meandrow tubylczej historii i współczesności.

Dennis Banks

Dennis Banks (podobnie jak zestawiany z nim często Russell Means) był jednym z symboli Ruchu Indian Amerykańskich (AIM) — ruchu, który przypominał Ameryce, że rdzenne narody nadal istnieją i domagają się praw, szacunku oraz politycznej podmiotowości. Dla europejskich indianistów to liderzy AIM byli często pierwszym kontaktem z „żywym Indianinem politycznym” i współczesnymi aktywistami i towarzyszami podróży, a nie bohaterami dawnych opowieści.

Banks odegrał też ważną rolę w kontaktach z europejskimi środowiskami grup poparcia Indian. To dzięki niemu część polskich uczestników PRPI mogła uczestniczyć w sprowadzonych przez niego w 1990 roku do Europy i Polski duchowych biegach długodystansowych. Niektórzy mogli wyjechać na kolejne biegi w Ameryce Północnej (i czasem zostać w niej na dłużej), czy wziąć udział w Najdłuższym Marszu 2 w 2008 roku. Dla wielu był symbolem odwagi, odzyskiwania godności i poszukiwania obszarów wspólnoty. Wczesna działalność Banksa (i całego AIM) była radykalna i często upraszczała rzeczywistość do ostrego konfliktu „Indianie kontra biali”. Dla jednych była koniecznym głosem gniewu wobec kolonialnej przemocy, dla innych — ryzykiem zamiany złożonej historii w pojedynek bez odcieni szarości. Dla średniego pokolenia ludzi PRPI wizyty w Polsce Dennisa Banksa (czy Jamesa Robideau – innego weterana AIM, nauczyciela i pomysłodawcy Zawiniątka Ruchu) stały się zwiastunem przemian w zabiegającym o wiarygodność PRPI. Umożliwiły szerszą edukację, udział w ceremoniach, partnerską współpracę, podróże i nowe możliwości.

„Indianin w nas lub blisko nas”- legenda, solidarność i wspólnota, Sat-Okh

Dla wielu uczestników PRPI „Dziadek” Sat-Okh był kimś znacznie więcej, niż tylko „Indianinem z „Teleranka” czy autorem działających na emocje książek i gawęd. Był żywym dowodem, że „indiański świat” może zaistnieć obok nas – a może nawet w nas samych. Jego opowieści budowały emocjonalny fundament fascynacji Indianami w czasach, gdy dostęp do źródeł był bardzo ograniczony, a pragnienie spotkania i dotknięcia Indianina przemożne. Sat inspirował młodzieńcze zainteresowania historią i rzemiosłem Indian, uczył szacunku wobec Przyrody i rozbudzał wyobraźnię kilku pokoleń. W pewnym sensie wymarzył PRPI. I został jednym z nas.

Jednocześnie właśnie wokół Sat-Okha bardzo wyraźnie widać problem zmagania się z granicami między mitem a rzeczywistością, między potrzebą emocjonalnych więzi i weryfikacji historii. Pytania o jego biografię nie dotyczą dziś wyłącznie „prawdy archiwalnej”. Chodzi także o to, że jego legenda w naturalny sposób stała się częścią zbiorowej tożsamości PRPI. Dla sporej części środowiska Stanisław Supłatowicz pozostaje ważnym symbolem epoki i inspiracji. Dla innych jest przypomnieniem, jak łatwo ruch budowany na emocjach może umniejszać rolę faktów, ulegając sile wyobraźni i sztuce opowieści. Im mniej interesuje nas skąd się wziął, tym bardziej pozostajemy częścią jego dziedzictwa. Nieidealni – i niechętni do porzucania marzeń.

Stefania Antoniewicz

Stefania Antoniewicz, znana jako „Indiańska Babcia”, odegrała w początkach PRPI rolę nie mniej ważną, choć zupełnie inną, niż sięgający po indiańskie tematy pisarze czy podróżnicy. Była przede wszystkim jednym z kanałów kontaktów wewnątrz rodzącego się środowiska – i pionierskim głosem solidarności ponad Oceanem. Była źródłem informacji i przykładem intymnej wręcz, emocjonalnej łączności z konkretnymi Indianami. W realiach PRL-u to właśnie przez takie jak ona nieliczne osoby docierały do Polski wiadomości o AIM, Wounded Knee czy przyziemnych problemach indiańskich więźniów. I to osoby z kręgu Babci uczyły wrażliwości na ich problemy mimo realnej, politycznej i kulturowej odległości. Działalność Indiańskiej Babci i jej pierwszych wychowanków pokazuje również ograniczenia tamtej epoki. Wiedza była fragmentarycz-

na, źródła nieliczne, a obraz Indian budował się głównie wokół emocji, listów, relacji i symboli oporu. Powstawała piękna, choć nieco naiwna, wizja Indianina jako uosobienia duchowej autentyczności i walki z niesprawiedliwością – takimi postrzegał ich i malował np. malarz-indianista Tadeusz Piotrowski. Z dzisiejszej perspektywy widać uproszczenia tej narracji, ale trudno nie docenić roli ludzi, którzy idąc za przykładem Indiańskiej Babci w trudnych warunkach stworzyli przestrzeń zbliżenia ze współczesnymi Indianami i budowali pierwsze mosty solidarności. Do dziś śpiewamy o Babci przy ogniskach.

PRPI po 50 latach – między mitem, doświadczeniem i dojrzewaniem

I właśnie tutaj pojawia się najważniejszy być może sens jubileuszu 50-lecia PRPI. Nasz ruch nigdy nie był zbudowany z jednej opowieści. Tworzyli go równocześnie romantycy natury, rekonstruktorzy i kolekcjonerzy, ekologowie, tancerze i biegacze, duchowi poszukiwacze, polityczni aktywiści i popularyzatorzy literatury, artyści, poeci i ludzie budujący własne legendy. Każda z tych warstw wносиła coś ważnego: wrażliwość społeczną, szacunek wobec Przyrody, krytykę kolonializmu, fascynację dawnymi kulturami tubylczymi czy potrzebę bardziej prostego, wspólnotowego życia. Ale każda zostawiała też własne zniekształcenia.

Jedni idealizowali Indian jako „ludzi żyjących bliżej natury”. Inni widzieli w nich przede wszystkim strażników duchowości albo zasługujące na rekompensatę ofiary kolonializmu. Jeszcze inni budowali własny autorytet na niejednoznacznych biografiach lub uproszczonych obrazach indiańskich kultur. W efekcie wiele osób poznawało bardziej „świat wyobrażonych Indian” niż rzeczywiste, dawne lub współczesne, ale zawsze bardzo zróżnicowane społeczności tubylcze.

A jednak te wszystkie doświadczenia — także kręte ścieżki, ślepe uliczki, naiwne fascynacje i podtrzymywane mity — współtworzyły historię PRPI. To z nich rodziły się pierwsze przyjaźnie, podróże, spotkania i radości, życiowe sukcesy i nauki, fascynacje pięknem różnych kultur i ekologiczne wrażliwości, społeczne zaangażowanie i autentyczna potrzeba szukania innego spojrzenia na świat. Dzięki nim powstały „Tawacin” i PSPI, grupy Huu-Ska Luta i Makha Sapa, kolejne kluby i nieformalne stowarzyszenia, indianistyczne wioski, małżeństwa i przyjaźnie – czasem na całe życie lub ponad Oceanem.

Warto przy tym zauważyć, że proces przemian w PRPI nie przebiega liniowo. W praktyce (choć proporcje zmieniały się w czasie) współistnieją dziś w ruchu wszystkie warstwy: romantyczna, duchowa, artystyczna, surwiwalowa, rekonstrukcyjna, ekologiczna, polityczna, literacka, badawcza i inne. Ich współistnienie i obserwowane między nimi napięcia nie są błędem czy słabością, lecz naturalną trwałą cechą tego typu ruchów kulturowych. W tym sensie historia PRPI nie jest historią „błędów i korekt”, lecz historią stopniowego poszerzania pola widzenia. Mamy sporo przestrzeni do tego, by PRPI przestał być głównie odbiorcą i „konsumentem”, a stał się aktywniejszym kreatorem wiedzy i postaw ludzi w jego otoczeniu. Aby stawać się rodzajem edukacyjnego filtra, przez który to co ważne dla indianistów – i samych Indian – trafiałoby szerzej, do świadomości rodaków. Można chyba tego oczekiwać od pięćdziesięciolatka...

Od fascynacji do partnerstwa – czyli jak dojrzewać, nie odcinając się od korzeni

Znamienne jest, jak stosunkowo niewielką rolę zajmowała w długiej historii PRPI intelektualna twórczość Indian, np. Vine’a Delorii Jr. — przenikliwego, często ironicznego krytyka zachodnich fantazji o Indianach. Deloria (a później opisujący nas jego syn Philip) przypominał, że rdzenne narody nie istnieją po to, by dostarczać Europie duchowych symboli, ekologicznych wzruszeń czy romantycznych marzeń o utraconej harmonii, lecz by same opowiadały o własnej historii, interesach i współczesności. Być może właśnie dlatego jego spuścizna pozostaje jednym z ważniejszych intelektualnych

wyzwań stojących dziś przed PRPI. Bo u progu drugiego półwiecza ruchu czas już, żeby coraz wyraźniej przechodzić od czerpania przyjemności i opowiadania o Indianach do uczenia siebie i innych, jak naprawdę ich słuchać. I mamy tu dobrych nauczycieli.

Warto też pamiętać o jeszcze jednej warstwie, która przez lata porządkowała nasze wyobrażenia o Indianach „od strony wiedzy”. To europejscy badacze i popularyzatorzy, tacy jak prof. Christian Feest, a w Polsce m.in. prof. Aleksander Posern-Zieliński i prof. Ewa Nowicka. To środowiska konferencyjne, muzealne i solidarnościowe, w których pojawiali się (i do których aspirowali) niektórzy uczestnicy PRPI, poczynawszy od serii tzw. Euromeetingów z przełomu lat 80. i 90., czyli dorocznych spotkań grup poparcia z udziałem goszczących w Europie (a czasem i u nas) tubylczych delegatów. Tam, z dala od ognisk i legend, zderzały się emocje z etnografią i polityką, a intuicje z krytyką źródeł i apelami o sprawiedliwość (jak choćby w sprawie Leonarda Peltiera). Ta warstwa raczej nie budowała mitów, ale je mozolnie korygowała – wskazując, że „Indianie” to nie jeden obraz, lecz wiele historii i problemów, dla których trudno o wspólny mianownik. Nie wypada lekceważyć jej zasług.

Chętnie świętujemy kolejne jubileusze i gotowi jesteśmy uznać, że niejako automatycznie czynią nas one dojrzałszymi. Ale nie ma przełomów bez historii dochodzenia do nich, a dojrzewanie – choć musi trwać – powinno przynosić wnioski i zmiany. Dlatego wyzwaniem dla współczesnego PRPI nie jest już samo „zainteresowanie Indianami”. Coraz bardziej chodzi o przejście od fascynacji do partnerstwa, od mitu do bardziej świadomej wiedzy i od opowiadania o Indianach do wspierania tego, jak sami chcą dziś opowiadać o sobie. Tak rozumiem zawarte w nazwie PRPI „bycie przyjacielem”.

Oznacza to więcej miejsca dla współczesnych tubylczych autorów, artystów, naukowców i aktywistów. Więcej krytycznej pracy ze źródłami, aktywnego reagowania na tubylcze potrzeby, świadomego rozróżniania między reprezentacją, interpretacją i zawłaszczaniem. Więcej zrozumienia dla ich – także krytycznych wobec nas – głosów. Więcej współpracy z tubylczymi instytucjami, grupami i liderami, więcej wspólnych projektów i wsparcia dla tego, co ważne i dla nich, i dla nas. Więcej zainteresowania współczesnymi problemami tubylczych społeczności – w tym efektami kolonializmu i globalizmu, a mniej traktowania Indian jako symbolu utraconego świata, skarbnicy utopijnych mądrości czy źródła egoistycznych satysfakcji. W podzielonym świecie – więcej szukania sojuszników, a mniej – robienia sobie niepotrzebnie wrogów. I być może najważniejsze – nie zastępujemy w niczym Indian, a tym bardziej nie udajemy ich. Bądźmy raczej pośrednikami i tłumaczami – „ambasadorami”, którzy z pomocą młodszych pokoleń i nowych narzędzi z pasją, szacunkiem i zrozumieniem będą wzmacniać wielorakie tubylcze głosy i wartości.

Ale dojrzewanie nie musi oznaczać odrzucenia własnej historii. PRPI powstał przecież także z ognisk, obozów, pieśni, młodzieżowych lektur, fascynacji i rozczarowań, dyskusji przy piwie, naszych sporów pod rozgwieżdżonym niebem i bardzo silnych emocji. To wszystko również jest częścią naszego dziedzictwa. Nie unikajmy przy tym poszukiwania odpowiedzi na pytania – gdzie zawiedliśmy, jakie błędy wciąż popełniamy, kiedy nadmiernie egzotyzujemy lub zawłaszczamy. Dokumentujemy też i szanujemy własną historię i symbole. Bo ruch, który potrafi krytycznie spojrzeć na własne korzenie, nie musi się od nich odcinać lub unikać prawdy o wyborach na długiej drodze, którą przeszedł. Dopiero wtedy może naprawdę dojrzewać i mieć przed sobą przyszłość. Jak Indianie, przez których – i po części dla których – to wszystko się zaczęło. Spróbujmy pójść dalej – mądrze, pięknie i w równowadze.

Marek Nowocien

Prezentujemy okładki dwóch książek,
które zostały opublikowane w związku z 50-leciem PRPI.
Cały niniejszy numer jest poświęcony temu jubileuszowi.

Zapraszamy także na portal:
www.amerykaindianska.pl - tu też, do końca roku,
będą pojawiać się teksty wspomnieniowe.



JUBILEUSZOWY ALBUM FOTOGRAFICZNY

50 złotych. Pół wieku wspólnej drogi.